Nr. 19 Poznań, dnia 10 maja 1903. Rok VII



Czego potrzeba ludowcom?

Ruch ludowy zwyciężył na całej linii — wszędzie tam, gdzie chciał zwyciężyć.

W miarę jak rozchodziły się wieści, że na zebraniach przedwyborczych ludowcy przeprowadzają swe listy kandydatów wbrew opinii komitetów, wzmogło się poczucie własnej siły, rósł zapał i prowadził młodych do boju nawet tam, gdzie nie spodziewaliśmy się tego wcale. Pogrom hrabiego Kwileckiego w okręgu, w którym ludowcy dotąd nie dawali znaku życia, był niespodzianką i zarazem znamieniem zdrowego rozsądku. A zacięty bój w Kościanie, gdzie zachowawcy z wyjątkową w tym obozie energią wystąpili do walki, okazał, iż ludowcy posiadają duży zasób siły odpornej i zaciętości.

Z zapędem lawiny ruch ludowy zmiótł — kilku dawnych posłów, a jeżeli innych oszczędził, nie jest to wcale zasługą lub dowodem siły zachowawców, lecz przypisać trzeba li tylko temu, że ludowcy nie chcieli ich obalić, że powstrzymały ich od tego ukryte ręce lub uboczne wpływy. Lecz równie dobrze mogli byli pozbawić mandatów ks. prałata Jażdżewskiego i księcia Radziwiłła jak pp. dra Dziembowskiego i szambelana Cegielskiego, bo jak spróchniałe wewnątrz drzewo rozpada się pod obuchem siekiery, tak listy kandydatów komitetowych upadały pod naciskiem woli ludowców. A rozprzężenie w kołach zachowawczych jest takie, że w Jarocinie komitet nie odważył się nawet stawić na pierwszem miejscu swej listy kandydata, o którego przeprowadzenie głównie mu chodziło, lecz wystąpił z listą kompromisową.

Że ruch ludowy nie opanował wszystkich mandatów, że pozostanie w Kole polskiem kilku dawnych posłów o barwach zachowawczych — nie należy wcale ubolewać. Przeciwnie zupełny pogrom zachowawców wyszedł-by na niekorzyść młodego obozu i to z wielu powodów. Ruch warstw emancypyjących się jest jeszcze za młodym, aby nie potrzebował urabiać się wewnętrznie, dojrzewać i krystalizować, a jest to możliwem tylko przez dalsze ścieranie się z zwolennikami dawnego porządku rzeczy, dawnej taktyki parlamentarnej, tak w Kole polskiem jak w kraju. Wyrósłszy zbyt szybko ruch ludowy mógłby rozzuchwalić się i popaść w te same błędy, co zachowawcy, a więc na miejscu obalonych klik, trzymających wszystko w dłoniach, potworzyć własne i tak forytować ludzi, wieszających się ich klamki, ze względów prywatnych, koteryjnych.

Zanim ludowcy ujmą ster spraw w ręce, trzeba im rozejrzeć się w nowej sytuacyi wytworzonej przez wybory, urobić się i wyszkolić, usunąć nieodzowne *błędy* popełniane w tej kampanii, zapełnić *braki*. Błędy te i braki nie dziwią nas bynajmniej, bo budzące się do życia społecznego masy mniej jeszcze od innych doświadczeńszych mogą sobie rościć pretensyę do nieomylności. Bez błędów nie mogło się obyć już dlatego, że dotąd ludowcy sami nie znali siły swej i miary rozrostu.

W walce wyborczej przeto ruch ludowy działał przez pół *na ślepo*; w przeciwnym razie los, który spotkał posłów Dziembowskiego i Cegielskiego, przedewszystkiem byłby dotknął posłów ks. prałata

Jażdzewskiego i księcia Radziwiłła, niemniej jak hr. Kwileckiego. Jeźli bowiem któremu z posłów można bez wahania nalepić etykietę: ugodowiec, to księdzu Jażdzewskiemu i prezesowi Koła. Posłowie Dziembowski i Cegielski godzą się wprawdzie na taktykę parlamentarną dawnych ugodowców, i tak każą nam nadal trzymać się fraka centrowców, nie drażnić rządu ostrym tonem a centrowców stawianiem polskiego kandydata w Westfalii oraz płaszczyć się przed centrum na Śląsku.

Wszystkie te znamiona ugodowców są nam wstrętne, ale wprost ugodowcami nie możemy dzisiaj nazwać ani posła Dziembowskiego ani Cegielskiego. Ich przeszłość i ich taktyka dzisiejsza upoważnia nas tylko do przypuszczenia, że gdyby nowy Caprivi wyparł hr Bülowa i dawny wiatr zawiał z Berlina, posłowie ci weszliby znowu na drogę dyplomatyzowania. Atoli dzisiaj jeszcze ugodowcami nazwać można ks. prał. Jażdzewskiego i księcia Radziwiłła. Mowy pierwszego z nich w Berlinie przejąć musiały każdego Polaka oburzeniem; bez względu zatem na zdolności, zasługi i rutynę parlamentarną ks. prał. Jażdzewski pierwszy winien wyjść bez mandatu. Piszemy wyraźnie, bez względu na zdolności, gdyż zdolności same nie są wystarczającą kwalifikacyą na posła. Rozchodzi się o to, *jak je się zużytkowuje.* A ks. Jażdzewski źle je zużytkowywał. Nie na to przecież wysełamy posłów do Berlina, by tam uprawiali politykę umizgów do ministrów, nie na to, aby błagali centrum o przebaczenie za jakieś wrzekome winy prasy polskiej, lecz na to, aby *bronili nas.* Czy może posłowie nie mają przed kim i przed czem nas bronić? Wzgląd na zasługi dawniejsze ks. prałata Jażdzewskiego również nie może wpływać na obalenie naszego sądu, bo swe zasługi zaprzepaścił ks. prałat przez swe ostatnie występy parlamentarne.

W tem przekonaniu nie jesteśmy odosobnieni. Wiadomo nam bowiem, że rozgoryczenie w kołach ludowców przeciwko posłowi Jażdzewskiemu wybuchnie płomieniem prędzej czy później.

Podobnie ma się z księciem Radziwiłłem, może względy familijne nie pozwalają mu występować zgodnie z duchem narodowym w wszelkich okolicznościach, lecz to nie tłomaczy go i nic nas nie obchodzi. Dość, że prezes Koła polskiego nie zawahał się brać udziału w uroczystościach cesarskich w Poznaniu, od których uchylił się z godnością Polaka hr. Żółtowski. Dość, że książę Radziwiłł niekiedy przemawiał w duchu pokrewnym do ks. prał. Jażdzewskiego, zdradzając, iż w zanadrzu kryje skłonności ugodowe. A, lubo strawimy w Kole polskiem agraryusza i konserwatystę, — *pragniemy zatrzeć z nim nawet ślad ugodowca.*

Że ruch ludowy tych dwóch posłów nie zmiótł, kładziemy w części na karb nielogicznego i nieobliczalnego „Orędownika", który kieruje się osobistą sympatyą lub antypatyą, bałamucąc czytelników oraz *brakiem kandydatów* po stronie ludowej. Bujnie strzelając w górę, ruch ludowy przesadził sam siebie i stąd wyborcy na razie nie mając kandydatów, o których zresztą nie trudno, wysuwali naprzód, ludzi, których — jak przekonaliśmy się — nieraz nie znali. Jeżeli dostał się na listę ludowców taki obiecujący obywatel jak hr. Maciej Mielżyński, stało się to niemal wypadkiem. A stało się dobrze, że ruch ludowy wyzyskał siłę atrakcyjną, jaką widocznie posiada w łonie wyższych warstw, i wchłania w siebie obywatelą, który pragnie iść naprzód z młodymi, zasłużył sobie na wyszczególnienie Komitetu centralnego przez niewdzięczną, mozolną i gorliwą pracę agitacyjną i rokuje nadzieję, iż pracując nad sobą stanie się dzielnym szermierzem parlamentarnym. Było niebezpieczeństwo, że w braku jawnych kandydatów i w braku organizacyi ludowej popełnią wiele jaskrawych błędów. Zapobiegł temu zdrowy zmysł ludu, który zalecał uciekać się do swych posłów sejmowych i tych stawiać na swej liście.

Komitety miejscowe postępowały sobie dość nieporadnie i niewłaściwie, bo winny były zapraszać upatrzonych przez siebie obywateli na wiece ad hoc zwołane, na których kandydat byłby im przedstawiał swe credo polityczne. Prawda, że przez to obudzono-by czujność zachowawców, i zwycięstwo ludowców nie byłoby tak łatwem, wszelako byli-by ludowcy szli jasnym szlakiem, wiedząc w każdym wypadku co robią, jakich przekonań człowieka mianują swym przedstawicielem.

Aby uniknąć błędów z całą pewnością oraz ująć ruch młodych w karby, potrzeba było ludowcom w tej kampanii grona polityków swej barwy, o których mogliby się oprzeć. Przy układaniu bowiem list ludowych posłów rządził wypadek, czy garstka ludzi w powiecie lub miasteczku, którzy żyjąc w ciasnym obrębie, nie mogli mimo inteligencyi posiadać należytych informacyi o obywatelach, kwalifikujących się na posłów. Stąd w jednym wypadku dali się snadnie podejść zachowawcom. Chcąc temu zapobiedz, należało skonsolidować ruch młodych żywiołów przez nadanie mu rady naczelnej, która w sprawach takich służyła-by wskazówką, wydawała opinię o upatrzonym kandydacie. Do takiego „Ausschuss'u" weszli-by naturą rzeczy w pierwszym rzędzie znani i wypróbowani posłowie Głębocki, Chrzanowski i Czarliński wraz z kilku kooptowanymi obywatelami. Nie podobno bowiem pozostawić wszystkiego na łasce i niełasce kilku ludzi w miasteczku, nie podobno godzić się na bałamutny „rozum polityczny" „Orędownika", który podjąwszy dawną ideę Marcinkowskich eks-

ploatuje ją samowolnie, i nieraz niezgodnie z interesem sfer ludowych, nie dorósłszy do ideowej wyżyny, na jakiej stawia swój trójnóg.

Dalecy jesteśmy od życzenia, aby posłowie o barwach ludowych utworzyli w Kole odrębną partyę. Bynajmniej nie zalecamy niczego podobnego, jak niejeden mógłby z słów naszych wywnioskować. Atoli z obserwacyi nad przebiegiem wyborów wyłania się imperatywnie postulat powołania do życia na czas walki partyjnej z żywiołami wstecznymi rady prowodyrów ruchu ludowego. Wogóle jest obowiązkiem ludowców zastanowić się nad usunieniem błędów i braków — dla dobra sprawy.

Quis.

Fałszowanie opinii.

Sytuacya na Ślązku w ostatnich tygodniach w niczem się nie zmieniła. Jak przed miesiącem tak i dziś dwa polskie stronnictwa tamtejsze: Towarzystwa wyborczego i „Katolika" stoją wrogo naprzeciw siebie i zwalczają się wzajemnie z niemniejszą niż wówczas zaciętością. „Katolik" obstaje przy kandydatach niemiecko-centrowych i przy jedynym swoim polsko-centrowym kandydacie *Króliku* i ani słuchać nie chce o jakichkolwiek ustępstwach na rzecz strony przeciwnej polsko-narodowej. „Towarzystwo wyborcze" również stoi wytrwale przy swych hasłach i kandydatach, a nie mogąc dla braku sal do zebrań publicznych agitować żywem słowem, czyni to licznemi odezwami, w których potępia taktykę i polemikę „Katolika", i nawołuje Ślązaków pod sztandar narodowy. Czy wszystko, co głosi w tych odezwach, jest *taktycznie* dobre i dla sprawy poskiej pożyteczne, tego rozbierać tu nie będziemy, bo nie miałoby to już celu — a utrudniałoby może pracę „Towarzystwa." Chociażby też zresztą w jego agitacyi mieścił się niejeden błąd lub niefortunny frazes — sympatye nasze są i będą po jego stronie. Ono bowiem reprezentuje *jedynie dziś racyonalny kierunek* zabiegów i pracy około zupełnego i definitywnego odzyskania Ślązka dla macierzy polskiej. Cel, jaki sobie wytknęło, posiada ogromną doniosłość dla całej Polski, życzyć więc tylko wypada, ażeby celu tego dopięło. Resztę wyłącznie już pozostawić musimy Towarzystwu, jego przywódzcom, prasie i zwolennikom — na Ślązku.

„Katolik" — wyczerpawszy do głębi cały swój zapas sofistyki i podwójnie grzesznej w tym wypadku hypokryzyi— przycichł na razie — pod względem polemicznym. Czuje on, jak się zdaje, dobrze, w jak fatalną dostał się sytuacyą, jak wielką wziął na siebie odpowiedzialność wobec całego narodu. O ile bowiem milczy na własnych łamach, o tyle głośniej stara się zrehabilitować w prasie innych zaborów — przyczem niestety w niegodny wręcz sposób stara się o ile może w błąd wprowadzić opinią tamtejszą.

I tak niedawno pojawił się w krakowskim „Czasie" cały szereg artykułów pochodzących jeśli nie wprost z redakcyi „Katolika", to w każdym razie od najbliższych jego przyjaciół, omawiających sprawy górnoślązkie w sposób już nie tylko tendencyjny, ale wprost *kłamliwy*. Celem ich było stwierdzenie, że „Katolik" i jego redaktor — to niejako już *alfa i omega*, ba *personifikacya polskości Ślązka*, że polskość tej dzielnicy stoi i upaść *musi* wraz z „Katolikiem", że przeto kto zwalcza „Katolika" i jego politykę — ten zwalcza i burzy polskość Ślązka. Wszystkich przeciwników „Katolika" zaliczono w czambuł w poczet wrogów polskości, niesumiennych agitatorów, ludzi bez czci i wiary; a redaktora „Katolika" przedstawiono już nie jako bohatera, ale wprost męczennika i odkupiciela Ślązka. Lecz mniejsza już o to; można to zbyć przysłowiem o liszce, która chętnie własny swój ogon chwali. Gorsze to, że dla uzasadnienia tego rzekomego ogromnego znaczenia „Katolika" — chwycono się *fałszu i kłamstwa*.

Obecny narodowy ruch wyborczy na Ślązku *nie jest*, jak wiadomo, *pierwszą* próbą w tym kierunku. Pierwszą taką próbę przedsięwzięto już przed 10 laty w okręgu raciborskim, przedsięwzięły ją wówczas tamże pod innem kierownictwem *„Nowiny Raciborskie."* Skutek czyli rezultat jej nie był pomyślnym, bynajmniej nie z powodu obojętności ludu *polskiego*, lecz wyłącznie z powodu niesprzyjających zewnętrznych okoliczności. Ówczesny kandydat narodowy, śp. Filip Robota, otrzymał tylko 6000 głosów i uległ.

W artykułach „Czasu" starano się przegraną tę przedstawić tak, jak gdyby była wynikiem tego, iż lud *polski* tamtejszy nie poszedł za głosem przywódzców narodowych. To pierwszy fałsz! Przyczyną bowiem porażki kandydata polskiego był jedynie i wyłącznie brak poczucia narodowego w zamieszkującej ten powiat ludności *morawskiej*, stanowiącej tam połowę całej ludności. Głosów *polskich* w powiecie raciborskim może być wogóle conajwyżej 7000. Jeżeli więc kandydat narodowy otrzymał ich 6,000, to wynika z tego jasno, że olbrzymia większość ludu polskiego już wówczas gotowa była do samodzielnej akcyi narodowo wyborczej. Z góry też było do przewidzenia, że jeźli nie powiedzie się pozyskać Morawian, kandydat polski tylko głosami ludu polskiego zwyciężyć nie może. Wiedzieli o tem nie tylko przywódzcy ówczesnego ruchu, ale i wyborcy polscy. Jeźli mimo to odważyli się na postawienie własnej polskiej kandydatury — to uczynili to jedynie pod *presyą twardej konieczności*. Okazało się bowiem już wówczas to samo co dzisiaj, że o pertraktacyach i jakimkolwiek sprawiedliwym *kompromisie* z centrum mowy być nie mogło. Ruch narodowy, jeźli sam nie chciał spaczyć swych ideałów i celów, musiał już wówczas iść własną drogą, chociażby ta droga na razie nie prowadziła do *materyalnego* zwycięztwa. Było to więc prostą konsekwencyą podstawowej idei i charakteru tego ruchu — i tak też zarówno ten poryw jak i rezultat jego pojmował lud ślązki w Raciborskiem.

„Katolikowy" autor owych artykułów nie ogranicza się atoli na tym jednym fałszu, lecz zaraz wysnuwa z niego drugi, jeszcze *nieuczciwszy*. — Do czegoż doprowadziła ta nieudana próba narodowo-wyborcza? — pisze. — Oto do zupełnego zniechęcenia ludu w tym okręgu dla sprawy narodowej do zabagnienia tej sprawy. Taki sam tedy rezultat może i musi wydać także obecna próba — w razie nieudania — rozumuje dalej.

Autor spekuluje tu widocznie na krótką pamięć pewnych kół polskich w sprawach dotyczących „tylko chłopów ślązkich" i na nieznajomość faktów minionych w tych kołach. Inaczej bowiem nieśmiałby występować z tego rodzaju monstrualnym fałszem.

Prawdą bowiem jest, że lud polski w okręgu Raciborskim bynajmniej się nie zniechęcił tą pierwszą nieudaną próbą. Gdy bowiem po czterech miesiącach po tej porażce nastąpiły wybory *do sejmu*, ten sam lud, tak samo ochotnie zabrał się do samodzielnej narodowej akcyi przy tych wyborach, chociaż wobec trzyklasowego systemu wyborczego i notorycznej już obojętności Morawian szanse tej akcyi były *jeszcze mniejsze*, niż przy wyborach do parlamentu. Nie odstąpił zaś od tej akcyi nawet wówczas, gdy mimo usilnej agitacyi powiodło mu się na 500 wyborców (walmanów) wybrać tylko 52 własnych polskich. Byłby ich wybrał więcej, gdyby centrum już przy „prawyborach" nie było się znów *skojarzyło z antykatolic-*

bą, masońsko-protestancką partyą rządową. Centrum wyszło samo na tem najgorzej, gdyż wskutek sojuszu tego straciło nawet w zupełnie katolickich gminach dużo wyborców.

Już przed wyborami posła stało się też jasnem, że kandydaci centrowi muszą upaść. Mimo to, mimo zupełnej beznadziejności zwycięztwa — z owych 52 polskich walmanów ani jeden na chwilę nawet się nie zawahał, lecz wszyscy śmiało i dzielnie głosowali na polskich kandydatów. Gdzież tu zniechęcenie u polskiego ludu?

Po tych wyborach „Nowiny Raciborskie" jeszcze przez cały rok pozostały w ręku osobistości, która ten ruch narodowo-wyborczy przeprowadziła, a o jakiemkolwiek zniechęceniu lub zobojętnieniu ludu mowy nie było. Nastąpiło ono dopiero wówczas, gdy kierownik „Nowin" złamany chorobą nerwową i więzieniem, licznemi procesami i kłopotami materyalnemi zniewolony był ustąpić z swego stanowiska. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że gdyby był znalazł następcę, tym samym ożywionego duchem, jedynie zasobniejszego w materyalne środki — duch narodowy w tym okręgu nie byłby upadł, lecz przeciwnie, potężniał z każdym rokiem i może nawet byłby działał dodatnio na zaniedbanych zupełnie Morawian. Ale takiego nie zdołano znaleźć. Nadto w Księztwie grasowała wówczas w całej pełni polityka ugodowa, która wprost *dezawuowała* ruch narodowy w powiecie raciborskim, jako „kompromitujący" ugodowców poznańskich wobec rządu. Ówczesny kierownik „Nowin" nie znalazł też innej drogi wyjścia jak sprzedać swe pismo „Katolikowi" — który notabene również ruchu narodowego wówczas nie popierał. I dopiero od tej chwili odkąd *„Katolik"* stał się właścicielem „Nowin", datować się tam może zobojętnienie i zniechęcenie ludu polskiego dla sprawy narodowej, jeźli w rzeczywistości istnieje, o czem jeszcze powątpiewamy. „Katolik" bowiem od razu zmienił charakter i tendencyą „Nowin," oddał je na służbę stronnictwa centrum, tłumił ducha narodowego wśród ludu. Nie przegrana więc przy wyborach, *lecz polityka „Katolika" spowodowała rzekomo niepomyślny dziś stan narodowo-polityczny w tym powiecie.*

To jest — *prawda!* Jakże się minął z nią autor owych artykułów w — „Czasie!"

Sądzimy też — że te krótkie reminiscencye z niedalekiej a niestety przez ogół już zapomnianej przeszłości niejednemu otworzą oczy na wartość sofizmatycznych wykrętów „Katolika". Przysłużą się zaś może społeczeństwu naszemu jeszcze pod jednym względem — pouczając go o właściwym charakterze i tendencyi stronnictwa centrum. W tym celu przytoczymy tu jeszcze jeden szczegół dla tych, którzy łudzą się jeszcze, że między ruchem narodowym na Śląsku a stronnictwem centrum jest jeszcze możliwy jakikolwiek kompromis, a którzy zarzucają „Towarzystu wyborczemu", że się wogóle o kompromis taki nie ubiega. Ci niech posłuchają, co się wówczas stało.

Powiat raciborski wybiera do sejmu *dwóch posłów.* Kierownik „Nowin" w porozumieniu z ludem zaproponował więc przywódzcom centrowym taki sojusz: Dajcie nam jednego posła — my za to głosować będziemy na drugiego *waszego.* Propozycyą tę *odrzucono — bez dyskusyi* nawet. Wówczas — dla dobra sprawy katolickiej oświadczono ze strony polskiej: „Pozwólcie tylko wybrać ludowi kandydata według jego życzeń, potrzeb i pragnień, — a więc *Polaka i dobrego katolika;* ten polski kandydat — chociaż Polak *wstąpi nawet do Centrum — razem z waszym Niemcem.* I tę propozycyą odrzucono z ubliżającą ludowi polskiemu pogardą, a odrzucono ją, chociaż już prawdopodobnem było, że wskutek tego ucierpi sprawa katolicka. Centrum mimo to wolało zawrzeć sojusz z wrogami sprawy katolickiej, wolało narazić się na utratę *obu mandatów,* co też nastąpiło — niż nawet pod takimi warunkami jednego z nich oddać *ludowi polskiemu.* Odpowiedziało mu z brutalną otwartością: Lud polski nie ma żadnych praw, musi się podporządkować niemieckim katolikom, musi ich *słuchać we wszystkiem.*

Tak oto pojmuje Centrum — sojusz z ludem polskim na Śląsku, a że nie zmieniło się dotychczas pod tym względem, to dowodzi postawa, jaką zajęło nawet wobec uległego „Katolika".

Jeźli też lud polski na Śląsku nie ma utonąć w katolickiej nienawiści, *musi iść na przebój* pod hasłami narodowemi.

Raciborzanin.

Z ruchu wyborczego.

Uczestnicząc w wiecach wyborczych nie odbieramy dokładnego pojęcia ani o poglądach w łonie wiecowników ani o stopniu uspołecznienia tychże. Wiece mają zwykle przebieg urzędowy, suchy. Wszystko z góry jest przygotowane, ukartowane, zaledwie jeden lub drugi z masy wyborców ośmiela się zabrać głos, wiecownicy niby żołnierze poddają się komendzie wodzów.

Aby zajrzeć po za kulisy wyborcze i zdać sobie sprawę z pojęć panujących pomiędzy mieszczaństwem, wybrałem się na *wiec jarociński* wcześnie i rozmawiałem z wielu obywatelami, pomiędzy którymi spotkałem kilku bardzo światłych i jasny pogląd na wybory mających ludzi. Że nauczycielami społecznymi mieszczan są gazety i tylko gazety — okazało się niedwuznacznie w rozmowie, bo co chwila posługują się oni argumentem: „ta gazeta pisze to a to", lub „jeżeli ta gazeta na niego napada to widocznie odpowiedni dla nas człowiek". Ujawnił mi się przeto namacalny wpływ prasy, który nie zdziwił mnie wprawdzie, bo nie napróżno zwą ją ósmą potęgą świata, ale zastanowił. Narzuca się bowiem pytanie, czy wszystkie ludowe pisma stoją na tej wyżynie ideowej i etycznej, aby zdołały rozszerzać skalę pojęć czytelników, podnosić ich poziom i oświetlać drogi społeczne. Niestety parafiańszczyzna przemawia zbyt często przez ich łamy, jeźli kierują się ideałem społecznym, obniżają go, spaczają prywatą zbyt często. Nadto nie oświecają one dostatecznie mieszczan, którzy o niektórych ważnych pomysłach dotyczących wyborów nie byli poinformowanymi tak, iż niejeden błąkał się w ciemnicy. Ogólnie biorąc zaobserwowałem wielkie zainteresowanie się wyborami oraz dość znaczne, ale wcale jeszcze nie wystarczające wyrobienie społeczne. Mianowicie zaś uderzyło mnie, że wielu nie miało pojęcia o zasadniczej różnicy dzielącej ludowców od zachowawców.

Mieszczaństwo jarocińskie tak jak w innych miasteczkach nie dorosło jeszcze do republikanizmu, lecz zdradza wyraźnie rojalistyczne tendencye; skupia się więc wokoło swego wybrańca, który jako człowiek tej samej sfery posiada z góry zaufanie mieszczan a energią i bystrością potrafił zawładnąć ich umysłami. On to porusza ukrytemi za kulisami sprężynami, on szereguje i prowadzi do walki wyborczej swoich. A postępuje zwykle według wskazówek swej gazety, na którą przysięga, jak na pismo święte.

Nie zamierzam opisywać przebiegu wiecu, który odbył się przy tropicznym upale w ciasnej salce hotelowej, mieszczącej zaledwie 150 ludzi, bo wyręczyły mnie w tem pisma codzienne. Zaznaczę tylko, że ks. dziekan Podlewski z Wilkowyji kierował wiecem z wielkim spokojem i taktem, a gdyby był obstawał przy dyskusyi nad listą kandydatów komitetowych, nie byłoby się obeszło bez burzy. Ludowcy bowiem byli zdeterminowani wykreślić z listy pana dra Dziembowskiego, chociaż komitet stawił go bardzo skromnie na

trzeciem miejscu. Cel tego manewru komitetu nie był ludowcom jasnym, ale raz orzekłszy: „nie chcemy Dziembowskiego“, nie chcieli wcale o nim słuchać, ba! podarli nawet plikę jego odezw. W tem postanowieniu przykład Pleszewa grał wielką rolę. Przeczuwał to komitet, bo na pierwsze miejsce swej listy stawił jarocińskiego posła sejmowego o barwach ludowych dra A. Chłapowskiego.

Drugiego kandydata listy komitetowej pana mec. A. Wolińskiego przyjęło zebranie równie nieprzychylnemi okrzykami jak imię posła Dziembowskiego. Przewodniczący zapytał się o przyczynę niechęci dla obrońcy Wrześniaków, lecz do dyskusyi nie przyszło. I tak komitet, w gruncie niemało oburzony wrogiem przyjęciem dwóch swych kandydatów, nie dowiedział się, że zebranie nie sprzyjało panu mec. Wolińskiemu z tego powodu, iż poczytuje go za oddanego na usługi najwsteczniejszych żywiołów i za ultramontanina, rzeczywistego czy pozornego.

Lista komitetu przepadła dość nieznaczną większością, bo lud wiejski przybył na wiec z postanowieniem głosowania w myśl komitetu. Wszelako pomiędzy włościanami nie było tego zapału, jaki cechował ludowców. Stąd nietylko nie upierali się oni przy liście komitetu, ale ten i ów dał się przekonać ludowcom w ostatniej chwili i porwać ich przykładem.

Ordon.

Pielgrzymka do Rzymu.

(Specyalna korespondencya „Pracy“).

Z drogi, 23-go kwietnia.

II.

Z Wiednia jechaliśmy ku granicy włoskiej przez Semering jak przez cudną panoramę. Co chwila zdumione i zachwycone oczy coraz innym, coraz nowym napawały się widokiem. Pociąg piął się w górę, krążył wokoło, znikając od czasu do czasu w tunelach, by znów po kilku minutach wybiedz z ciemności na jasne słońce, oświecające przepaściste głębie, wyniosłe i dumnie sterczące skały, wysokie zielenią i śniegiem stropy gór, zdobne w stare ruiny.

Wśród gór porozrzucane widnieją najrozmaitszego rodzaju i kształtu szałasy, wille, kapliczki, maleńkie a śliczne kalwarye, pobożną ręką wzniesione Bogu na chwałę, a duszom smutnym i znękanym, w modlitwie szukającym ukojenia, na pociechę. A wszystko to porozrzucane w najfantastyczniejszy sposób wśród gór i wzgórz śniegiem i zielonością pokrytych, wśród strumyków wijących się wdzięcznie wśród hałasujących i szumiących małych górskich potoków. Wszystko to chciało, by się w oczach zatrzymać, a te widoki chowające się jeden za drugim, tak szybko znikają nam z oczu. Już hotel Semeringen, zbudowany na najwyższym szczycie, a obok maleńki kościołek przed nami.

Przy wyjeździe z ostatniego tunelu stoi pomnik inżyniera, twórcy tej pięknej, lecz karkołomnej drogi, tak jak w Suezu stoi wśród starannie pielęgnowanych drzew, pomnik słynnego inżyniera Lesepsa.

Padwa, 24-go kwietnia.

Po całodziennej jeździe i nie koniecznie wygodnie spędzonej nocy w wagonie, stanęliśmy na ziemi włoskiej, w Padwie. Pomimo jednak, że każdy radby się dostać jaknajprędzej do łóżka, zatrzymano nas dopóty, dopóki trzecioklasiści nie zostali wyekspedyowani do miasta pod należytą eskortą. Później dopiero zajęto się nami, rozdając bilety na dorożki i mieszkanie. Opyleni, znużeni, niewyspani i głodni, tłoczyliśmy się do dorożek.

Obraz dworca, dla nieinteresowanego widza przedstawiał widok arcykomiczny. Deszcz lał strumieniami. Jedne dorożki odjeżdżały, uwożąc z sobą szczęśliwych pasażerów, w inne tłoczono się, nawołując po polsku w najrozmaitszych akcentach. Tu galicyjski proboszcz z okolic Jasła, przeciągle, śpiewnie prosił: „Ależ siadajcie ze mną bracie.“ Tu Wielkopolanin wołał: „Pójdź no sam.“

Wokoło naszej dorożki zbierają się tłumy. Zezowaty dorożkarz wywija otrzymanym biletem i nie chce jechać. Jakiś agent hotelowy o wybitem oku, kłóci się z nim zawzięcie. Do pomocy przychodzi ktoś inny. Każą nam wysiadać. Opieramy się temu zupełnie biernie, ale nie wysiadamy. Wołają Ojca Simona, polskiego braciszka, który przyszedł nas powitać na dworzec, aby księdzu dyrektorowi służył pomocą. Maleńki, łagodny, sympatyczny nadzwyczaj zakonnik, wysłuchuje cierpliwie najpierw naszych skarg, potem protestów włoskiego woźnicy.

Ojciec Simono przemawia po polsku, tłomaczy po włosku, biega od dorożki do dorożki, odszukuje dorożkaża wywijającego żółtemi biletami, uspokaja kogo może — aż wreszcie po wielokrotnem powtórzeniu: postała, woźnica, ciągle niezadowolony, mrucząc coś pod nosem, rusza wreszcie z miejsca.

Jedziemy uliczkami bardzo wązkiemi. Po obu stronach domów arkady, pod któremi w razie deszczu, zupełnie bezpiecznie spacerować można. W jednę z najmniej powabnych uliczek, dziwnie wązkich i ponurych, nie ozdobionych arkadami, skręca nasz jednooki woźnica i zatrzymuje się przed domem szczelnie zapartym a robiącym wrażenie zupełnie niezamieszkałej i spustoszałej budowy. Na głos dzwonka otwiera drzwi po długiej dopiero chwili, jak w bajce opowiadanej dzieciom, rozczochrana i brudna istota, wyglądająca na dziewczynkę, a jak się później pokazało, była wdową i matką pięciorga drobiazgu. Po wązkich, kamiennych schodach prowadzi nas na górę. Odgłos kroków głucho i złowrogo rozlega się wśród klatki schodowej. Na drugiem piętrze wskazuje nam pokój, brudny, nędzny, lichy, biedny, z oknem wychodzącem na stary, omszały mur, w którego zrębach gruchają gołębie. Wśród mebli w bardzo smutnym stanie i łóżek dziwnie niezachęcająco wyglądających, pomimo naszego znużenia, unosił się zapach niemożliwy, na który składała się wilgoć, smarzona gdzieś w kuchni oliwa i zgniłe jarzyny.

Ostatecznie jednak noc, jeżli nie była dobrą, to w każdym razie spokojną i bezpieczną.

Sw. Antoni Padewski robi ogromnie podniosłe wrażenie. Wśród tysiąca płonących lamp i świec, wysoko na ołtarzu, do którego prowadzą dziesięć stopni marmurowych, spoczywa w trumnie, niewidocznej od przodu ołtarza, patron straconych i zgubionych rzeczy. „Kto zgubił szczęście, stracił już nadzieję, komu życia ostry wiatr w oczy wieje, ten znajdzie tu balsam na wszystkie bóle i nędze tego świata. Św. Antoni żył wśród ludzi, kochał ich, rozumiał ich pociechy, litował się nad ich słabościami i nędzą, a teraz pomimo że dostąpił korony niebieskiej, nie opuszcza tych dawnych braci swoich nieszczęśliwych, smutnych i strapionych, dając im w zamian za szczerą modlitwę wielki spokój, ukojenie, a czasem nawet zguby odnalezienia. To też licznie, pomimo zmęczenia, tłoczyli się do konfesyonału pielgrzymi nasi. Msza wychodziła za mszą a kumunikantów nie brakowało. Obchodzono ołtarz, aby od tyłu widoczną trumnę świętego ucałować, a przyłożywszy do srebrnej blachy rękę, uczuć dziwne ciepło z tamtąd. Tymczasem kościół rozbrzmiał pieśniami polskiemi, co nieskończenie miłem było dla ucha. Powstrzymać się nie mogłem, by nie paść na kolana i nie prosić z dziecinną wiarą, aby ten, co zagubione odnajduje rzeczy, powrócił pielgrzymom polskim roztrwonioną, straconą Ojczyznę. Łzy szczerego wzruszenia biegły po zbladłych i zmęczonych twarzach pielgrzymów, ale miały one taki wyraz szczęścia i pogody, jakim natchnąć może ludzi tylko Sw. Antoni, wewnętrzne dając przekonanie, że modlitwa pielgrzymów wysłuchaną będzie.

Mszę przy głównym ołtarzu miał sam ksiądz Surzyński, potem powiedział kazanie, które i najwybitniejszym podobać się musiało, bo dotykało najtkliwszej struny serca każdego Polaka. Szanowny kapłan ma dar łączenia w swych przemówieniach wszystkich, w jeden chrześcijańsko-polski węzeł.

Po mszy zgromadzili się wszyscy do hotelu croix d'or. Obiad, któryśmy jedli w tym samym hotelu, poprawił trochę naszą opinię o wykształceniu kulinarnem Włochów.

Po południu ojciec Simono pokazywał nam skarbiec w kościele św. Antoniego. Jest on w osobnej zupełnie kaplicy, wystawiony w kilku bogato oprawnych witrynach i daje wyobrażenie o bogactwie tutejszych kościołów. — Marmurów, najcudowniejszych rzeźb i malatur jest tu mnóstwo, a wszystko przez pierwszorzędnych mistrzów rzeźbione i malowane.

Głównym punktem zbornym miasta jest piazza d'Erbe, plac otoczony wspaniałemi pałacami, z których najokazalszy jest Palacco della Ragione, ciągnący się wdłuż całego placu. Na piętrze znajduje się owa sławna, największa w

świecie sala, 87 m. długa, 27 szeroka, o jednym, niczem nie podpartym suficie. Obecnie jest ona bardzo zniszczona, odbywają się tam manewra straży ogniowej. W końcu sali stoi koń trojański dłuta Donatella, przechodzący naturalną wielkość tego zwierzęcia. Zewnętrzne „loggie" są tu tak olbrzymie, piękne i okazałe, otoczone balustradą, jakiemi poszczycić nie mogą się najwspanialsze zamki nowoczesne. — Kościół St. Annunciaty odznacza się sławnemi freskami Grotta, w których uwydatnia się cały geniusz niezrównanego mistrza. Uniwersytet padewski dla każdego Polaka miły, przepełniony pamiątkowemi herbami, z których dużo polskich. Przechowują tu do dziś dnia z wielkim szacunkiem katedrę Galileusza. Fasada uniwersytetu zbudowana przez Sansowina. Tu kształcił się Stefan Batory, Sobieski, Kopernik, Kochanowski i Zamojski. Ten ostatni był nawet przy tutejszym uniwersytecie rektorem. —

Po południu zebraliśmy się raz jeszcze w kościele św. Antoniego na wystawienie Przenajświętszego Sakramentu, po którem przemówił bardzo ładnie ksiądz proboszcz z Cekekwicy. Widocznie kapłan światły, gdyż mówi płynnie i starannie się wyraża. Mówił o św. Antonim, a lud słuchał w skupieniu i w zachwycie. — Tym większą bowiem miał ksiądz Beisert zasługę, biorąc na siebie kazanie, że jadąc razem z pielgrzymami, równie jak i oni był wyczerpany.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy do Rzymu.

O. K.

Z TYGODNIA.

Parlament niemiecki i sejm pruski zamknęły swe podwoje i opinia publiczna w Niemczech zajmuje się żywo bliskimi wyborami. Panuje mniemanie, że posłowie stronnictwa liberalnego wejdą w większej liczbie do parlamentu, co jest dla nas rzeczą całkiem obojętną. Nie ulega też wątpliwości, że socyaliści odniosą przy wyborach szereg zwycięstw. Jak bardzo chodzi im o to, by wkraść się w łaski ludu polskiego, okazuje się z tego, iż władza ich wyborcza wzywa socyalistów na *Śląsku*, aby przy ściślejszych wyborach pomiędzy Niemcem, *chociażby należał do stronnictwa ludowego* a Polakiem, socyaliści stanęli po stronie tego drugiego. Tym sposobem może przejdzie kandydat polski w *Katowicach*, gdzie zanosi się na ściślejsze wybory.

Prasa niemiecka demokratyczna podnosi z ubolewaniem, że w ciągu ostatniej kadencyi parlamentu ujawniła się potęga *socyalistów*, którzy dzisiaj są panami położenia i narzucają swą wolę większości. *Paul Singer* jest władzcą parlamentu. Na to jedyne lekarstwo widzą niemieccy demokraci w polityce skierowanej na dobro stanów średnich, lecz wobec upadku stronnictw demokratycznych w Niemczech i zaniku ich wpływu od polityki w tym duchu są Niemcy nieskończenie dalekie.

Na *Wschodzie* płomień rewolucyjny znów wybuchł w straszliwy sposób. W *Salonice* popełniono około pięćdziesięciu *dynamitowych zamachów*. Bank otomański, który był między innemi przedmiotem zamachu, zgorzał niemal do szczętu, lecz pieniądze zdołano wyratować. Do zamachu zużyto przeszło 100 funtów dynamitu. Złoczyńcy ponieśli śmierć przy wybuchu, niemniej jak kilka innych osób. W następnych dniach powtórzyły się zamachy, przyczem kilkanaście osób zabito na miejscu. Ogromny przestrach zapanował w mieście i w pałacu sułtańskim zatrwożono się niezmiernie na wieść o tem. Ogłoszono stan oblężenia i wykomenderowano nowy zastęp wojska do przywrócenia porządku. Obecnie pokój powrócił do Saloniki. Turcya wyznaczyła trybunał wojskowy celem ukarania winnych. Wielu winowajców wszakże unikło kary przez samobójstwo. Za ich przyczyną zginęło z górą sto osób.

Pomimo że po zamachach zapanował pokój i mieszkańcy miasta ufają, iż uda się rządowi tureckiemu zapobiedz dalszym zamachom, w wielu kołach nie tają się z wielkiem rozgoryczeniem i oburzeniem przeciwko *Bułgaryi*. Emisaryuszów bułgarskich bowiem winią za wszystko co się dzieje w Macedonii. Młodzi tureccy oficerowie domagają się natarczywie, aby Porta wypowiedziała niezwłocznie wojnę Bułgaryi a Albańczycy muzułmańscy popierają ich żądania. Lecz Turcya skrępowana wolą mocarstw nie odważy się na akcyę stanowczą przeciwko Bułgaryi.

Król angielski przed wyjazdem z *Rzymu*, gdzie doznał świetnego przyjęcia ze strony zaprzyjaźnionego z Anglią rządu, dworu i szerokich warstw — złożył pokłon Ojcu św. w Watykanie, pomimo, że w Anglii pewne sfery, w których przechował się dotąd duch wrogi papizmowi, protestowały przeciw wizycie króla Edwarda w Watykanie. Wizyta ta jest faktem znamiennym i bardzo ważnym, bo przyczyni się niemało do nawiązania dyplomatycznych stosunków pomiędzy W. Britanią a Watykanem i wpłynie na ustalenie znaczenia, jakie posiada kościół katolicki na angielskiej ziemi. Tolerancya religijna Anglików zyskała też wysokie uznanie w kołach watykańskich, kolegium jezuickie udekorowało świetnie swe gmachy, by wyrazić swą podziękę królowi, dającemu gościnność Jezuitom w swym kraju.

Natomiast przy przyjęciu *cesarza Wilhelma* zauważono brak wszelkich dekoracyi na wzmiankowanych gmachach, co prasa niemiecka zaznacza z wielkiem nieukontentowaniem.

Cesarz Wilhelm przybył do Rzymu w zeszłą sobotę. Na dworcu oczekiwał go król z książętami krwi, a kard. Rampolla przybył do poselstwa pruskiego przy Watykanie, aby wyrazić pozdrowienie powitalne Ojca św. dla cesarza. Zaraz następnego dnia udał się cesarz z cesarzewiczem do Watykanu z wielką pompą. Na całej przestrzeni wojsko tworzyło szpaler. Przy wjeździe pałacowe wojsko i żandarmerya papieska oddawała cesarzowi honory wojskowe i witali go szambelanowie papiescy. Poprzedzony przez dziewięciu urzędników, wszedł cesarz do komnat papiezkich, gdzie go witali dostojnicy, oddziały żandarmeryi, straży pałacowej i gwardyi szlacheckiej. Przyjąwszy powitanie ze strony bawiących właśnie w Rzymie biskupów niemieckich wszedł cesarz sam do prywatnego gabinetu papieża a synowie jego, (następca tronu i książę Eitel Fryderyk) pozostali z kilkoma dostojnikami w przyległej komnacie. Rozmowa cesarza z Ojcem św. trwała 20 minut, poczem papież przyjął synów cesarza i rozmawiał z nimi kilka minut. Rozmowa toczyła się po francuzku. Papież wyglądał dobrze i zdumiewał świeżością umysłu. Następnie złożył cesarz z synami wizytę sekretarzowi stanu kardynałowi Rampolla, który uchodzi za przyjaciela Francyi. Wskutek prześladowania zakonów w Francyi miał wszakże Rampolla przechylić się na stronę Niemiec.

W *Watykanie* rozumieją dobrze, iż przyjazna polityka cesarza Wilhelma nie jest wcale bezinteresowną a mianowicie, że Niemcy potrzebują Watykanu dla swej polityki wszechświatowej. Pragną bowiem występować w roli protektora katolicyzmu na Wschodzie. W tej materyi niezawodnie mówił Ojciec św. z cesarzem i można przypuszczać, że życzeniom cesarza mniej lub więcej zadość uczyni, by chociaż nie wprost wywrzeć nacisk na Francyą. Dla tego też tym razem przyjmowano cesarza jeszcze wspanialej niż przy ostatniej wizycie.

Tymczasem *król Edward* bawił w Paryżu. Nacyonaliści, którzy z nienawiści do rządu, odgrażali się, iż zakłócą przyjęcie króla demonstracyą — przycichli i cały przebieg wizyty był ze wszech miar świetnym i serdecznym. Urządzono wielką rewią wojsk w Longchampe oraz wyścigi na uczczenie gościa. Jednakże wielkiego politycznego znaczenia nie przypisujemy tej wymianie grzeczności, pogłoski o sojusz

francusko-angielsko-włoskim kładąc pomiędzy niewykonalne utopie. Jednakże wizyta króla w Paryżu nie pozostanie bez wpływu na stosunki handlowe obu krajów i zbliżenie dwu tych narodów. Prasa francuska wzięła sobie do serca słowa króla Edwarda, który wyrzekł: „wierzę w to, że na szczęście przeminęły dni nieprzyjaźni pomiędzy dwoma krajami“ i przemawia za pojednaniem serdecznem Francyi i Anglii dwojga przodujących w cywilizacyi narodów.

X. Y. Z.

Przegląd prasy.

Zupełny niemal upadek ducha i wszelki brak inicyatywy w kołach zachowawczych, na jaki wskazaliśmy niedawno, zaobserwował nawet w jaśniejszej chwili wsteczny *„Kuryer Poznański“* i lamentuje wielce zarówno nad zapałem ludowców jak ospałością swoich. Pisząc o walce wyborczej w okręgu bukowsko-kościańskim, zauważa:

„Kilka okręgów w kraju zdobytych jest przez partyą ludową i to tak zupełnie, że nawet stronnictwo przeciwne nie próbuje odzyskać ich napowrót.

„W Kole polskiem parlamentarnem lewica wzmogła się przez ostatnie wybory tak, że dziś niemal połowę Koła stanowi. Równocześnie zaś usposobienie w politycznie ruchliwszej części ludności przesunęło się silnie na lewo.

„Ten stan rzeczy nasuwa ludowcom myśl, że chwila nadeszła, w której zdobyciem jeszcze jednego lub dwóch mandatów uzyskają większość w Kole, staną się stronnictwem głównem i pierwszem w kraju. Zajaśniała im jutrzenka tryumfu rzeczywistego, gdy oni zajmą to miejsce w życiu naszem politycznem, — które dziś jeszcze prawica Koła i popierające ją czynniki w społeczeństwie zajmują.

„Od chwili tego tryumfu odgraniczają ludowców jeden lub dwa mandaty. A wiedzą oni dobrze, iż zdobycie tych dwóch oznaczałoby prawdopodobnie od razu lub w ciągu kadencyi zdobycie innych jeszcze, gdyby ich przedstawiciele stali się im niewygodnymi. Większości dobrze zorganizowanej łatwo zmusić do ustąpienia niemiłego sobie kolegę.

„Przeciwnie zaś porażka ludowców przy tegorocznych wyborach, polegająca na utrzymaniu obecnego stanu posiadania w Kole, oznacza zatwierdzenie wpływu prawicy Koła, skazuje ich na zatrzymanie roli opozycyi, która może oponować, ale nie może rządzić.

„Interesa więc, które *obecnie dla partyi ludowej wchodzą tu w grę, są wielkie.*“

Przewidując klęskę żywiołów zachowawczych przy wyborach *„Kuryer“* widzi niejedno w obozie ludowców zbyt różowo i tak uważa, że plan kampanii urządzili ludowcy „odpowiednio staranny.“ Tymczasem są uderzające braki i wadliwości w obozie młodych, na które zwraca uwagę *Quis* w wstępnym artykule.

„Nie chodzi im (ludowcom) pisze „Kur. P.“ już o to, by tylko zwalczać przeciwników, nawet nie o to tylko, by po prostu w jak największej ilości okręgów zwyciężyć, lecz o to, by ułożyć sobie stósunki polityczne w Kole i kraju tak, by ich stronnictwo stało się jak trafnie mówią Niemcy, „Regierungsfähig,“ czyli, by mu stworzyć warunki takie, by naprawdę mogło społeczeństwem a nie tylko same sobą rządzić.“

Do tego istotnie zmierza i zbliża się ruch ludowy, lecz nie jest to uświadomionym przez masy celem, tylko naturalnym wynikiem żywiołowej akcyi. Rzeczy układają się tak same przez się.

Zwracając się do zachowawców pisze *„Kuryer:*

„Upadek pana Cegielskiego w okręgu rolniczym, w okręgu uważanym dotąd niemal za najpewniejszy, byłby po prostu klęską dla jego stronników, a klęską tem boleśniejszą, że musieliby uderzyć się w piersi i przyznać, że *oni* właśnie są winni jego upadkowi. Jeżeli to poczucie przeniknie choćby w ostatniej chwili stronników p. Cegielskiego, jeżeli wzbudzi w nich choćby część tej energii, którą okazują stronnicy p. Niegolewskiego, w takim razie pomimo wszystkiego muszą zwyciężyć.“

To „sursum corda“ jest conajmniej spóźnionem. Powszechnie panuje mniemanie, że p. dr Niegolewski ma zapewnione zwycięstwo. Zresztą wpływ „Kuryera“ równa się zeru. *„Orędownik“* omawiając uwagi „Kuryera“ dodaje:

„„Kuryer“ przez dwa lata pojmował to, (że kwestya osób jest dla ludowców podrzędną) od dwóch miesięcy zatracił zupełnie zmysł na to. Wpływy jego na przebieg agitacyi wyborczej zejdą zresztą do zera, bo pismo, które nagle zmieniło kierunek — nie z względu na interes sprawy publicznej — ale dla osobistego interesu ugodowych kandydatów, może reprezentować tylko prywatę, nie sprawę publiczną.“

Wręcz inaczej jak „Kuryerowi“ przedstawia się *„Dziennikowi Poznańskiemu“* akcya ludowców. Przytoczywszy artykuł konserwatywnego „Słowa“ warszawskiego o ruchu wyborczym u nas, nad którym można smutnie pokiwać głową, występuje *„Dziennik“* namiętnie przeciw taktyce ludowców i ciska gromy na reprezentantów sfer ludowych, którzy jak zapewnia „Dzien.“ — są na zupełnie fałszywej drodze, jeźli sądzą, że w polityce „wszystko zrobić można klapą, kłamstwem, podstępem, fałszem bezwstydnością!“ Bezwstydnością jest dążenie ludowców do wybojkotowania „najlepszych sił“ z Koła, pisze „Dzien.“ i oblewa się rumieńcem wstydu na niedojrzałość polityczną nowych grabarzy przyszłości naszej (jak nazywa „Dzien.“ ludowców).

Dwa *ważne wiece* odbyły się w zeszłą niedzielę: w Kościanie i w Jarocinie. W obu powiatach ludowcy wzięli górę. Z zebrania w *Jarocinie*, gdzie stawiano na kandydatów pp. dr. *A. Chłapowskiego* i p. dr. F. Niegolewskiego i hr. Mielżyńskiego — podajemy wiązkę wrażeń. Wiec ten odbył się spokojnie, natomiast w *Kościanie*, gdzie był obecnym pan szamb. Cegielski, wywiązały się ożywione sporne debaty w kwestyi kandydatów. P. *Cegielski* — według *„Dzien. Pozn.“* — tak zakończył swe przemówienie:

„Ubieganie o mandaty poselskie nie ma właściwie żadnego celu, bo ta garstka Polaków w parlamencie nie nie znaczy, czy w Kole zasiadać będą demokraci, czy inni. Chodzi przedewszystkiem o to, aby Koło polskie było solidarne pod każdym względem. Najważniejszą jest praca w kraju. Główna rzecz, abyśmy byli dobrymi Polakami i katolikami, a wówczas nie będzie ani nienawiści, ani zwątpienia. Ale nie Polakami, którzy krzyczą o Polsce od morza do morza — tacy są najmniej warci. Ci, co najwięcej krzyczą, nie upominają się o swoje prawa, jak czynić powinni. Wszędzie, na każdym kroku powinniśmy być Polakami, ale Polakami kierującymi się rozwagą. Dziś wiekopomna rocznica konstytucyi 3-go maja, która zrównała wszystkie stany. W imię tej konstytucyi nie powinniśmy dzielić się na stronnictwa, wobec wspólnego wroga.“

Mimo przemówienia pana szambel. Cegielskiego, wypowiedzianego z niemałą swadą, mimo że p. Chłapowski z Kopaszewa podnosił zasługi dotychczasowego posła kościańskiego, zebranie nie przyjęło proponowanej listy komitetu, która brzmiała: Cegielski, dr. Skarżyński i dr. Dziembowski, lecz ogłosiło kandydatami: pp. *dr. Skarżyńskiego*, dr. Niegolewskiego i mec. Chrzanowskiego.

Walka dwóch stronnictw była zacięta i stosunek głosów był taki, że za listą komitetową oświadczyło się (jak twierdzi „Dziennik“) 2|3, a przeciwko niej 3|5 obecnych.

Niespodzianką był wynik wieca w *Szamotułach*, bo okręg ten wydawał się zabitym deskami i ruch ludowy nie dawał tam najmniejszego znaku życia. Na szczęście głosy prasy ludowej, które napiętnowała hrabiego H. Kwileckiego należycie, nie pozostały bez skutku. Nie tylko zbudził się zdrowy instynkt, ale — zwyciężył. Wiecownicy oświadczyli się za listą *ludową* i postawili na kandydatów pp. *hr. Mielżyńskiego*, dr. A. Chłapowskiego i Turnę z Objezierza.

„Mógł się hr. Kwilecki, który osobiście był na wiecu obecny, przekonać, czytamy w *„Orędowniku“* — co narobił jego pomysł, że chce być posłem centrowym.

„Komitet też się ocknął z letargu i zapowiedział szereg wieców w całym powiecie. Niechby tylko powiat obornicki urządził wiece we wszystkich parafiach, to bez pomocy Niemców katolików zwyciężymy.“

O wysuniętych na tych dwóch wiecach kandydatach czytamy w tem że

„Ludowcy wiedzą bardzo dobrze, że dr. *Skarżyński* to i konserwatysta i na dobitkę agraryusz czystej wody. Skoro jednak ma zrozumienie dla obecnego ruchu, dla naszego socyalnego ustroju i dla warunków, w jakich masy ludu polskiego mogą ratować obecnie swą narodowość, toć nic nam ludowcom nie przeszkadza, żeby na niego głosu nie oddawać. A niech on przy tem będzie agraryuszem, jakim być chce, byleby na tej drodze nie szedł w stronę Komisyi Kolonizacyjnej.

„*Hr. Macieja Mielżyńskiego* w Chobienic popierają także ludowcy, poznawszy, że to wprawdzie młoda jeszcze, ale dzielna siła obywatelska. Nie myślą go przerabiać na demokratę, owszem niech pozostanie arystokratą, byle w swych politycznych pojęciach miał pewne punkta styczne z ludowcami. Zresztą co mają znaczyć te zgryźliwe uwagi?

„Przecież to błąd wielki ugodowców, że hr. Macieja Mielżyńskiego nie pociągnęli do siebie, przy braku wogóle dzielniejszych ludzi nie zapewnili mu mandatu poselskiego. Ugodowcy nie umieją się poznać nawet na tem, co w ich kołach towarzyskich stoi gotowe do ich dyspozycyi.“

Odbyło się kilka innych wieców. Na zebraniu *w Gnieźnie* zaproponowano kandydatów pp. mec. Karpińskiego, dra Ulatowskiego i Sobeskiego, ale panowie ci odmówili przyjęcia. Postawiono więc i przyjęto następującą listę: pp. *Leon Grabski,* J. Mycielski i dr. Niegolewski.

Co się tyczy wyborów na *Górnym Śląsku* ciekawe informacye znajdujemy w korespondencyi *„Postępu,“* pochodzącej od stronnika „Katolika“. Pomijając polemiczną stronę korespondencyi czytamy:

„Rzecz z kandydatami ma się tak: W Opolskiem kandyduje p. Szmula, w Prudnickiem p. Strzoda, których uznaje nawet Towarzystwo wyborcze, choć do centrum obydwaj będą wybrani; w Bytomsko-Tarnogórskiem kandyduje p. Królik i dr. Stęślicki, obydwaj Polacy: *jeden z tych dwóch w każdym razie będzie wybrany.* W Gliwicko-Lublinieckiem wszyscy Polacy wraz z gazetami polskiemi są przeciw hr. Ballestremowi.“

W okręgach Racibórz, Strzelce-Koźle i Kluczbork-Oleśno — według tego korespondenta — kandydaci Towarzystwa wyborczego *przepadną* „z kretesem“ a w okręgach katowicko-zabrskim i pszczyńsko-rybnickim kandydaci narodowi mają pewne widoki zwycięztwa. W pierwszym z tych okręgów był posłem centrowiec Letocha, w drugim centrowiec Faltin, których „Katolik“ wysławia, aczkolwiek „brak im wybitnych cech narodowych.“

Polskie Towarzystwo wyborcze na Śląsk wydało nową odezwę, w której gromi politykę *„Katolika“*, wykazuje jak rozbiły się jego układy z centrum i pisze:

„Po tak okropnem bankructwie swej polityki układów, stanowisko, jakie zajmuje kierownik „Katolika,“ niezrozumiałem jest nawet dla przyjaciół jego osobistych. Przecież chyba nie wymaga, abyśmy uwierzyli w te brednie, jakiemi częstuje swych czytelników, pisząc, że „opieka centrowa wystarcza dla ludu polskiego.“

„Przypatrzmy się nieco, jak w rzeczywistości wygląda ta „opieka,“ jaką w ostatnich latach Polaków darzyli centrowcy:

„1. Jako partya oświadczyli, że są za wynarodowieniem Polaków... ich członkowie u nas, to najzagorzalsi germanizatorzy.

„2. Przez spóźnienie się do głosowania przyczynili się do uchwalenia 250 milionów na gnębienie Polaków.

„3. Głosowali przeciw wnioskowi Polaków, aby nie wolno było dzieci polskich zmuszać do modlitwy niemieckiej.

„4. Głosowali stale za powiększeniem armii i floty i powiększyli przez to podatki na ludzie ciążące.

„5. Głosowali za taryfą celną, podrażającą każdy kawałek mięsa, każdy kęs chleba codziennego, nie dającą najmniejszego zysku naszym rolnikom.

„Oto wiązanki dobrodziejstw centrowych! Nie ma chyba za co być wdzięcznym.“

Wiec w Pelplinie nie wydał namacalnych owoców. Być jednak może, że poufnie porozumiano się jak sobie postąpić mają zachowawcy wobec ruchu ludowego i kandydatury p. Kulerskiego.

Wynikiem obrad była uchwała, że wiece społeczne mają odbywać się co rok. Dalej uchwalono:

„1) Wobec wpływu niepożądanych towarzystw obcych, zaleca się zakładanie i popieranie towarzystw swojskich i połączenie ich w związek.

„2) Wiec pochwala dążenie wszystkich warstw do oświaty i do większego udziału w sprawach publicznych. Dlatego wzywa się ludzi inteligentnych wszystkich stanów, aby nad rozszerzeniem zdrowego ruchu ludowego zgodnie pracować chcieli.

„3) Prasa powinna służyć ideałom polsko-katolickim, szerzyć zdrową oświatę, starać się o pomnożenie dobrobytu, pracować nad zgodą i miłością we wszystkich warstwach naszego narodu, wystrzegać się, o ile możności, zaczepek osobistych.

„4) Wiec wyraża zaufanie najwyższej władzy wyborczej i wzywa wszystkich wyborców, aby szli za jej głosem.“

Nawet *„Pielgrzym“* przyznaje, że sejmik nie przyniesie wielkich praktycznych skutków, lecz pisze, że

„do uśmierzenia namiętności i do spokojnego rozważania, kto i jak zbłądził co do walki ostatniego czasu, przyczyni się jednakowoż w pewnej mierze wymiana myśli, która się odbyła.“

Nowy naczelny prezes p. v. *Waldow* oraz nowy nadburmistrz dr. *Wilms* przybyli do Poznania i objęli urzędy. Zadanie, jakie czeka nadburmistrza, określa *„Ostdeutsche Presse“* w tych słowach:

„P. Wilms zniewolony będzie zaprowadzić oszczędność. Od czterech lat niesłychanie wzrasta podatek kamunalny. W roku 1900 wynosił 132 procent, w 1901 roku 144 procent, w 1902 roku 164 procent, a w bieżącym roku 180 procent. Strach pomyśleć, jeśli tak dalej śrubowaćby miano podatki. Najważniejszem zadaniem nowego nadburmistrza będzie temu przeszkodzić. Faktem jest niezaprzeczonym, że z pomiędzy większych miast pruskich, Poznań należy do rzędu tych, których administracya jest za kosztowną. Należałoby zaprowadzić w tym kierunku oszczędność.“

Red.

— O koncercie *Leopolda Godowskiego,* pianisty, rozpisały się nader obszernie wszystkie pisma berlińskie, a niektóre z nich posiadają w krytykach nie poślednich znawców muzyki, jak profesorów konserwatoryum, kompozytorów itd. Wszystkie krytyki jednozgodnie, nieledwie chórem, głoszą sławę wielkiemu rodakowi Chopina i wielką przyszłość mu przepowiadają. Miło słyszeć pochwały, dawane Polakowi od obcych, a jeszcze milej osobiście go podziwiać w koncercie odbyć się mającym w piątek 15 maja r. b. w wielkiej sali teatru Apollo. Bilety na krzesła po 3 m. i 2 m., loże po 4 m. sprzedaje już teraz księgarnia Botego i Bocka.

Jeżeli p. Godowski dotąd mniej znany naszym warstwom społeczeństwa, to pochodzi ztąd, że swój debiut rozpoczął w Stanach Północnej Ameryki, gdzie też u wszystkich nazwisko jego jest na ustach, a tak samo głośnym jest p. Godowski we wszystkich większych pismach niemieckich, które podziwiają wielki talent naszego rodaka.



Akademia Wileńska z kościołem akademickim św. Jana.

Dział illustrowany

WIOSNA.

Wiosna na jasnej skroni
Wianek ma z polnych kwiatów,
Zielenią stroi gaj,
Wpośród blasku i woni
Przypływa z poza światów,
Za rękę wiedzie Maj!

* * *

Pod listkami rozwija
Ciche fiołki trwożne,
Gdzie tknie jej szaty kraj...
„Pozdrowiona Marya
Bądź przez dusze pobożne,
To miesiąc Twój -- to Maj!

* * *

Pod Twoją weź obronę
Nasze dusze rozdarte,
Gwiazdo lśniąca z za chmur!...“
Bzy nawpół rozchylone,
Konwalie wpół — otwarte
Woni podnoszą chór!

* * *

Wiosny szata okrywa
Wszystko, co tchnie i żyje,
Łan, pole, błonie — gaj,
Wszechhymn Królowej śpie-
[wa
I pozdrawia Maryę
Ten jej miesiąc — ten Maj!

Bożymir.



Rys. J. Rysakiewicz.

Akademia Wileńska.

(Do illustracyi albumowej.)

Gdy Jezuici, sprowadzeni r. 1570 do Wilna przez biskupa wileńskiego Protaszewicza, założyli szkołę, król Stefan Batory r. 1579 podniósł ją za rektoratu St. Warszewickiego do godności akademii. Grzegorz XIII potwierdził ją, stawiając na równi z innemi akademjami w Europie. Majątek akademii rósł szybko, tak że r. 1585 miała już swoich adwokatów i administratorów. Dyplom Batorego stanowił dwa wydziały: filozoficzny z 5 profesorami i teologiczny z 10 profesorami. Pierwszym rektorem był wiekopomny mówca ks. Piotr Skarga. Na wydziale filozoficznym wykładano: metafizykę, logikę, etykę, matematykę, historję, geografję i nauki tak zw. wyzwolone, *litterae humaniores*, do których zaliczały się gramatyka łacińska i grecka, retoryka i poetyka. *Humaniora* te były przygotowaniem do wydziału filozoficznego, filozoficzny zaś do teologicznego, który miał prawo promowania na licencjatów i doktorów. Zarząd był w ręku biskupa, którego stanowisko było tylko tytularne i rektora, wybieranego na lat 3. Rektor z prefektem zależni byli od generała zakonu i prowincjała, w których ręku spoczywały przeto rzeczywiste rządy Akademii. Radziwiłł Sierotka podarował Akademii swoją drukarnię brzeską. W r. 1641 Jezuici uzyskali od Władysława IV przywilej na wydział medyczny, który jednak nie został otworzony, i na prawny, który powstał w r. 1644, gdy Lew Sapieha dał fundusz na 4 profesorów. Taką była organizacja Akademii Wileńskiej do rozwiązania zakonu w r. 1773. Z utworzeniem Komisyi Edukacyjnej zaczyna się nowa epoka Akademii, nazwanej wówczas Szkołą Główną Wielkiego Ks. Litewskiego. Została wówczas podzieloną na trzy wydziały: 1) moralny, obejmujący teologję, prawo i literaturę, 2) fizyczny i 3) medyczny. Pod koniec XVIII wieku, za rektoratu zasłużonego ks. Poczobuta, na wydziale fizycznym ks. Mickiewicz (stryj Adama) wykładał fizykę, Narwojsz — matematykę wyższą, ks. Kundzicz — mat. stosowaną, Reszke — astronomię, Gucewicz — architekturę, Szmuglewicz — malarstwo. Założona w Grodnie przez podskarbiego Ant. Tyzenhauza i zaopatrzona przez króla Stanisława Augusta w obfite zbiory szkoła lekarska, została z rozporządzenia Komisyi Edukacyjnej przeniesiona do Wilna. Ogród botaniczny także założony w Grodnie przez Tyzenhauza, a liczący 2000 gatunków roślin prowadzony przez botanika Giliberta, Francuza, również przeniesiony został r. 1781 do Wilna i pomieszczony u podnóża góry zamkowej. Obserwatorjum astronomiczne, założone około r. 1754, rozwinięte zostało w r. 1766, gdy Puzynina ofiarowała na jego budowę 6000 dukatów, do czego potem i sam rektor Poczobut sporo własnego grosza dołożył. Przy Akademii, dla utrzymania ubogich studentów, były trzy bursy: Walerjańska założona przez biskupa Protaszewicza, Bejnartowska i Korsakowska założona przez Korsaków. W r. 1802 cesarz Aleksander I powołał rektora Akademii Strojnowskiego do Petersburga na członka komisyi, mającej się zająć ułożeniem zasad instrukcyi do edukacyi w całem państwie. Jednym z najbardziej wpływowych radców tej Komisyi był książę Adam Czartoryski i on to został (r. 1803) kuratorem okręgu naukowego wileńskiego, jednego z ośmiu w całem państwie, ale może największego, bo obejmującego całą Litwę, Białoruś, Wołyń, Ukrainę i Podole. D. 4 kwietnia 1803 r. Akademja Wileńska otrzymała nazwę „Imperatorskiego Uniwersytetu“ i świetne utrzymanie, bo 105 tysięcy rubli rocznie z funduszów pojezuickich, nadto 4 miejsca w kapitule wileńskiej, tyleż w żmudzkiej i 10 najlepszych beneficjów z dawnych królewszczyzn. Uniwersytet został podzielony na 4 wydziały: 1) fizyczno-matematyczny — katedr 10, 2) lekarski — katedr 6, 3) nauk moralnych, politycznych i teologicznych — katedr 10, 4) literatury i sztuk wyzwolonych — katedr 5. Do kursów dodatkowych wyznaczono 12 adjunktów. Zreorganizowano seminarjum nauczycielskie. Uniwersytetowi poddane zostały wszystkie szkoły rządowe i prywatne w całym okręgu. Pod władzą kuratora znajdowała się rada uniwersytetu z rektorem na czele, tj. całe gremium profesorów. Uchwały zapadały większością głosów, przyczem dozwolone było *votum separatum*. Organem wykonawczym rady był zarząd, złożony z czterech dziekanów i rektora, wybieranych na 3 lata. Uniwersytet sam obsadzał katedry i mianował członków honorowych. Raz na miesiąc odbywały się sesje naukowe tak zw. akademickie, a w każdem półroczu jedna z nich była publiczną. Pensja roczna profesorów zwyczajnych wynosiła rs. 1500; po 25 latach emerytura równa pensyi, po 5 latach $^{1}/_{5}$ część pensyi, po 15 — $^{1}/_{4}$ tejże. Takąż emeryturę brały wdowy i dzieci do 21 roku życia lub do zamążpójścia. Rodzinom zmarłych, którzy nie wysłużyli lat 5-iu, wypłacano zapomogę jednorazową ów ną pensyi rocznej. Uniwersytetowi oddano cenzurę książek w całym okręgu. Uniwersytet miał własną drukarnię i aptekę, mianował wizytatorów szkół, wszyscy studenci podlegali wyłącznie dozorowi i sądowi uniwersytetu i podzieleni byli na dziesiątki. Dziesiętnik obowiązany był, w razie jakiegoś nadużycia, najpierw dać przestrogę przyjacielską koledze, a dopiero w razie nieposłuszeństwa donieść dziekanowi. Nad ostatecznem uorganizowaniem uniwersytetu pracował do r. 1808 komitet złożony z ks. J. Mickiewicza, Jędrzeja Śniadeckiego, J. Franka, S. Malewskiego i E. Grodka. Z grona profesorów uniwersytetu wybrany ko.



incenty Wodzinowski. **Wawrzon i Marysia.** (Za chlebem.)

mitet szkolny zarządzał szkołami okręgu. Frank założył instytut medyko-chirurgiczny, który później liczył do 100 kandydatów, a w roku 1812 dał 20 lekarzy szpitalom wojskowym. Uniwersytet pozostawał w stosunkach ze wszystkiemi prawie ogniskami nauki w Europie, wysyłał młodych a zdolnych ludzi na studja za granicę: na naukę rolnictwa do Anglii, po materjały historyczne do Szwecyi; zakupuje rękopisy po Dogielu i Albertrandym, daje zapomogi badaczom. Wykłady filozofii Gołuchowskiego (ziemianina sandomierskiego) i Joachima Lelewela (ziemianina mazowieckiego) ściągały taką liczbę słuchaczów, że brakło odpowiednio obszernej sali. W szeregu rektorów po Poczobucie widzimy obieranych: Strojnowskiego, Jana Śniadeckiego, S. Malewskiego i ziemianina z Białorusi matematyka Twardowskiego. Myślą przewodnią księcia kuratora było związanie obywatelstwa ziemskiego z interesami oświaty ogólnej w kraju.

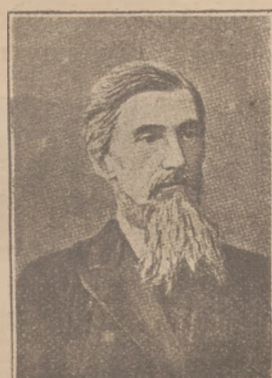
Zygmunt Gloger.

Z albumu znakomitych mężów.

Dnia 23-go października 1830-go r. urodził się w Klecku pod Gnieznem, z rodziców Jakóba i matki Barbary z Gostomskich Władysław Nehring, jeden z najgorliwszych pracowników na niwie naszego piśmiennictwa. Żywot jego cichy, jak to zwykle bywa u skromnych pracowników, nie obfituje w przygody. Oto najważniejsze koleje jego życia. Początkowo uczył się w domu rodzicielskim, następnie wstąpił w 1842 roku do gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu. Nauczycielami jego w gimnazyum byli znani filologowie Wannowski i Schweminski, matematyk Brettner, nadto Cegielski, Marceli Motty, Jan Rymarkiewicz. Po ukończeniu gimnazyum w roku 1850, wyjechał na studya uniwersyteckie do Wrocławia, gdzie zapisawszy się na wydział filozoficzny, poświęcił się przedewszystkiem filologii klasycznej i historyi, słuchając wykładów profesorów: Branissa, Haasego, Stenzla; najwięcej zawdzięcza Nehring metodycznemu kierownictwu znanego historyka R. Roepella, od którego nabył ścisłości w badaniach. Podczas swych studyów uniwersyteckich należał do „Towarzystwa literackiego słowiańskiego,“ założonego przez akademików-Polaków. Na podstawie rozprawy łacińskiej: „De rerum Polonicarum saeculi XVI scriptoribus,“ otrzymał w r. 1856 tytuł doktora filozofii, a wnet potem złożył egzamin na nauczyciela gimnazyalnego. Nauczycielem był najprzód (1857 r.) w gimnazyum w Trzemesznie, a potem w Poznaniu. Kiedy powstała Szkoła Główna w Warszawie, starał się o uzyskanie w niej posady, z powodu jednak zbyt młodego wieku nie wzięto go w rachubę. Dopiero po śmierci profesora literatur słowiańskich we Wrocławiu, Wojciecha Cybulskiego (w r. 1867), powołano go w r. 1868 na profesora filologii słowiańskiej we Wrocławiu, gdzie wykłada już długie lata, przynosząc wykładami swemi i dziełami chlubę imieniu polskiemu, piastując godnie tak ważny posterunek dla nauki polskiej.

W r. 1876 i 1886 był dziekanem uniwersytetu wrocławskiego, w roku 1893 rektorem.

Działalność literacka Nehringa, datująca się od r. 1856, jest nadzwyczaj obfitą, można zaś w niej rozróżnić prace, podejmowane w kierunku potrójnym: historycznym, językowym i literackim. Prace historyczne



Władysław Nehring.

Nehringa pozostają w ścisłym związku z jego studyami historycznemi; oprócz wspomnianej pracy doktorskiej, wydał studyum „O historykach polskich XVI w.“, złożone z następujących części: I. O życiu i pismach Reinholda Heidensteina. Poznań 1862. II. O życiu i pismach Joachima Bielskiego. Poznań 1860. III. O życiu i pismach Jana Dymitra Solikowskiego. (Poznań 1860). W roku 1862 ogłosił w „Tygodniku Poznańskim dłuższy artykuł: „Sprawa Zborowskich.“ Z rozpraw językowych następujące prace zasługują przedewszystkiem na uwagę: „Ueber den Einfluss der altcechischen Sprache und Literatur auf die altpolnische“ („Archiv f. slav. Philologie“ I. II. V. VI.), w której to rozprawie wykazuje wpływ czeszczyzny na pieśń „Bogarodzica,“ „Psałterz Floryański,“ „Psałterz puławski“ i „Biblię szaroszpatacką.“ Studya językowe nad wspomnianemi zabytkami naszej literatury podejmował jeszcze później nieraz, i tak o pieśni „Bogarodzica“ napisał studyum w języku polskim, pomieszczone w „Studyach literackich“ (1884, Poznań), „Psałterzowi floryańskiemu“ poświęcił jeszcze rozprawy: „Iter florianense“ (Poznań, 1871). „Psalterii Florianensis partem polonicam ad fidem codicis recensuit, apparatu critico, indice locupletissimo instruxit.“ (Poznań. 1883).

Zajmował się nadto Biblją królowej Zofji („Die Sophien Bibel. Archiv für slavische Philologie“, VI), jako też kazaniami gnieźnieńskiemi (por. przedewszystkiem „Kazania gnieźnieńskie“, Kraków, 1896). Te przygotowawcze studja były podwaliną do napisania obszernego dzieła: „Altpolnische Sprach Denkmäler“ (Berlin, 1886), należącego do prac najważniejszych literackich Nehringa. Dzieło to czyni dokładny przegląd pomników języka staropolskiego po koniec w. XV, tak, że każdy, pragnący się poinformować o stanie naszego piśmiennictwa w okresie jego najdawniejszym znajdzie w książce prof. Nehringa. dokładne, odnośne informacje krytyczne, językowe i literackie. Ma zresztą Nehring i tę zasługę, że ogłosił w dziele tem niektóre pomniki po raz pierwszy, jak naprz. „Djalog śmierci z mistrzem“ i inne.

Należy tu jeszcze wspomnieć o opracowaniu przez Nehringa gramatyki polskiej, ułożonej przez I. Poplińskiego: „Gramatik der polniscen Sprache. Neu bearbeitet von Prof. Dr. W. Nehring. Siebente Auflage. (Thorn 1881). Wydanie to w wielu miejscach jest zupełnem przerobieniem gramatyki Poplińskiego, wydanej po raz pierwszy w 1824 roku.

Przechodząc do wyliczenia prac literackich, zaznaczyć należy, że niejedna z wymienionych powyżej prac należy też częściowo i do działu literackiego. Jednem z pierwszych dzieł na tem polu był „Kurs literatury polskiej dla użytku szkół“, wydany w Poznaniu w 1866 roku; praca ta jednak nie odpowiadała warunkom, jakich wymaga się od podręcznika. Nieco pokrewnem „Kursowi“ było przerobienie „Nauki poezji“ w r. 1879, wydanej przez Hipolita Cegielskiego. Prócz tych dwóch większych rozmiarów prac, poświęcił Nehring badania swe życiu lub też pismom rozmaitych pisarzy, począwszy od wieku XVI do XIX. Do wieku XVI odnosi się rozprawa o „Żywocie Józefów Reya“ (Die dramatisirte Geschichte Josephs von N. Rej“. Berlin. 1886), w której wykazuje wpływ literatury zagranicznej na dramat Reya. Kochanowskim zajmował się Nehring kilka razy, ogłaszając

rozprawy: „Treny Jana Kochanowskiego“ („Studja literackie“, 1884); w wydaniu pomnikowem warszawskiem dzieł Kochanowskiego opracował „odprawę posłów greckich,“ w roku wreszcie 1899 wydał bardzo dobry przegląd badań nad życiem i pismami poety, p. t.: „Jan Kochanowski“ (Warszawa).

Początkami dramatu polskiego zajmował się w trzech rozprawach: jednej, napisanej po polsku: „Początki poezji dramatycznej w Polsce“, 1887 r.; i w dwóch ogłoszonych po niemiecku: w „Archiv f. slav. Philologie“, 1895 r. w „Zeitschrift für vergleichende Literaturgeschichte“, 1889. Z wieku XVII najwięcej zajęli badacza: Kochowski („Wespazjan Kochowski i jego liryki“) i Andrzej Morsztyn („Psyche Andrzeja Morsztyna“. „Biblj. Warsz.“ 1876), z w. XVIII — Krasicki („Poezje Krasickiego“, wydrukowane, jak i poprzednie rozprawy, w „Studjach Literackich“). Z rozpraw, poświęconych w w. XIX, na pierwszem miejscu należy wymienić rozprawy o Mickiewiczu: „Grażyna“ i „Konrad Wallenrod“ („Bibliot. Warsz.“, 1882), „Pan Tadeusz“ („Bibljot. Warsz.“, 1877), „Nieznane szczegóły z nauki Andrzeja Towiańskiego“ („Pamiętnik im. Ad. Mickiewicza“, II), „O paryzkich prelekcyach Ad. Mickiewicza“ („Pamiętnik Ad. Mickiewicza“ V), „O społecznych poglądach Adama Mickiewicza“ („Pamiętnik“ VI), „Mickiewicz w literaturze niemieckiej“ („Kraj,“ 1886 roku), jako też wydanie „Konrada Wallenroda“ (Lwów, 1893 r.); Zaleskiemu poświęconą jest rozprawa: „Z młodych lat Bohdana Zaleskiego“ („Bibliot. Warsz.“ 1887), Słowackiemu rzecz o „Balladynie i Lilli Wenedzie“ („Bibliot. Warsz.“, 1883), Krasińskiemu rozprawy o „Nieboskiej komedyi“ i „Irydjonie,“ Kraszewskiemu wreszcie rozbiór jego powieści historycznych, pomieszczony w „Książce jubileuszowej dla uczczenia 50-letniej działalności J. I. Kraszewskiego,“ 1880. Wyliczone dzieła i rozprawy nie obejmują całej działalności literackiej Nehringa: wymienienie wszystkich zajęłoby zbyt wiele miejsca, dlatego zwróciłem uwagę tylko na najważniejsze.

Ocena działalności Nehringa nie byłaby zupełną, gdybym nie wspomniał przynajmniej o całym szeregu recenzyi, ogłaszanych przez niego w rozmaitych czasopismach jako też o tem, że jest redaktorem wraz, z Jagicem i Brücknerem, jednego z najpoważniejszych czasopism naukowych: „Archiv für slavische Philologie,“ wychodzącego w Berlinie.

Wymienione prace Nehringa odznaczają się wielką erudycyą i gruntowną zawsze znajomością rzeczy, zwłaszcza studya jego filologiczne i literackie.

Nietylko jako uczony, lecz także jako profesor położył Nehring znaczne zasługi. Byli jego uczniowie z szacunkiem i miłością wspominają lata studyów swych, odbytych pod przewodnictwem Nehringa. Dzięki też jego starannym wykładom i wzorowo prowadzonemu seminaryum, wyszedł z uniwersytetu wrocławskiego znaczny zastęp pożytecznych pracowników na niwie literatury naszej. Do bardziej znanych uczniów Nehringa należą: Rafał Löwenfeld, Sikorski, K. Römer, Mik. Bobowski, dr. Jan Leciejewski, docent języków słowiańskich w uniw. lwowskim; dr. Ant. Danysz, prof. gimnazyalny we Lwowie; dr. Bron. Dembiński, profesor historyi w uniwersytecie lwowskim; dr. Bolesław Erzepki, konserwator zbiorów Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu. Zasługi Wład. Nehringa znalazły też powszechne uznanie, na co można przytoczyć niejeden dowód: tak np. w r. 1878 wręczyło mu Towarzystwo literackie słowiańskie wieniec srebrny w uznaniu jego zasług; w r. 1882 d. 20-go października obchodzono uroczyście 25-letni jubileusz jego naukowej działalności, w roku zaś 1899 rocznica jego urodzin uroczyście obchodzoną była przez uniwersytet wrocławski i całą Wielkopolskę.

K. P.



Lunatyczka.

Łakomy giermek.

(Epizod z życia króla Stanisława Augusta.)

„Hejże, Turkulle!“ „Słucham, Najjaśniej-
[szy Panie!“
„Zanieśże natychmiast te wiśnie na śnia-
[danie
Księżnie, mej siostrzenicy! są piękne
[i świeże,
Toż jako nowalią chętnie je odbierze.“
To mówiąc, król Stanisław paziowi podaje
Owoc słodki, soczysty. Paź zdziwiony
[staje,
Bo w życiu swojem wisien takich jeszcze
[nie jadł,

Pokusa zatem radzi, by choć kilka z nich [skradł.
Z podarkiem giermek, nicpoń, raźno na [koń wsiada
I ani się spostrzegłszy, łakomie go zjada.
Co począć? trudna rada — koszyk zo- [stał próżny,
A on pani Zamojskiej króla wiśnie dłu- [żny;
Lecz pocóż głowę łamać? po co się fra- [sować?
Psotne dziecko nowalii chciało posma- [kować.
„A zresztą, ot na rogu siedzi przy stra- [ganie
Przekupka z owocami, kupię, mości panie,
Funt, dwa funty wisienek, do księżny [zapukam,
Pana Najjaśniejszego najłatwiej oszukam!“
Fortel udał się gładko, lecz nie uszedł [płazem,
Gdyż króla siostrzenica z Bacciarellim [razem
Koncept trzpiota odkryli zaraz dnia dru- [giego,
Oskarżając przed królem giermka łako- [mego.
„Wolne żarty wyrządzasz, królu jego- [mości,
Niewinnym białogłowom. Pełna cieka- [wości
Biegnę oglądać owoc — wiśnia kwaśna, [mała,
Że jej do ust nie wzięłam, służba ją za- [brała.“
„Jak to? ma *toute belle*! wiśnie prze- [śliczne, lutowe,
Toć owoce te zwykle cokolwiek kwas- kowe!“
„Szkaradne, kwaśne, drobne!“ „Wszak Tur- [kułł je przyniósł?“
„Tak, Najjaśniejszy panie! widziałem go, [jak wiózł
Od straganiarki wiśnie; jechał konno, [kłusem,
Spoglądając na owoc niejako z przy- musem.“
Tem słowem Bacciarelli fortel giermka [zdradza;
Najjaśniejszy pacholę z gniewem wy- [prowadza:
„Łotr, *il n'est pas dégouté!*“ wypowiada z śmiechem,
A ściany mu wtórują głośnem, pustem echem.
„Cóżeś zrobił z wiśniami?“ kręcąc go za [ucho,
Zapytuje Turkułła król groźnie i sucho.
„Spełniłem ich przeznaczenie,“ rzecze [mu chłopię,
A ponieważ jechałem w zbyt szybkim [galopie,
Przeto się owoc utrząsł, zmalał, zbił [i skwaśniał.“
„Bacciarelli widział, jakeś przy przeku- [pce stał?“
„To już wolę wyznać waszej królewskiej mości,
Choć czoło wstydem płonie w zbyt [wczesnej młodości,
Że wiśnie mnie skusiły, jak jabłko Adama,
Wiśniom zaś i kobietom, tłomaczy rzecz [sama,
Człowiek rzadko się oprze — Baccia- [relli widzi
To, co chce, a co nie chce, po części nie widzi!“

Poznań, w maju 1903.

Stanisława R.

Z chwili.



M. J. Czertkow.

Jenerał — gubernator warszawski i dowódzca wojsk okręgu warszawskiego, M. J. Czertkow, wydał świeżo do wojsk warszawskiego okręgu wojskowego rozkaz, w którym zawiadamia, iż za zezwoleniem carskiem wyjeżdża do gubernii kijowskiej, a dowództwo wojsk w miejsce jego obejmie jenerał piechoty A. K. Puzyrewski, dotychczasowy pomocnik Czertkowa.

* * *



A. K. Puzyrewski.

Puzyrewski jest znakomitym strategikiem i autorem dzieł wojskowych. W 1901-ym roku był prezesem komisyi, mającej przeprowadzić reformę teatrów rządowych w Warszawie. Napisał: „Polsko — russkaja wojna 1831 goda.“ (Petersburg, 1886; przekład polski Jaxy Bykowskiego, Warszawa, 1888 r., „Historya powstania 1863 r. „Samo-Sierra“ etc.

—ski.

Nasze illustracye.

„Wawrzon i Marysia.“ — Komuż z naszych Czytelników nieznana jest piękna powieść H. Sienkiewicza p. t. „Za chlebem?“ Illustracya zamieszczona na stronie 558-ej przedstawia nam jednę z głównych scen i postaci z tej powieści. Wawrzon Toporek i córka jego Marysia znajdują się na pokładzie niemieckiego statku „Blücher“, płynącego z Hamburga do Nowego Yorku.

„Sam ten statek — pisze Sienkiewicz — który szedł naprzód dzień i noc po bezmiarach morskich, który trząsł się, huczał, pienił wodę, oddychał, jak smok a nocą ciągnął za sobą warkocz skier ognistych, wydawał się Wawrzonowi jakąś siłą podejrzaną i wielce nieczystą. Dziecinne obawy, choć się do nich nie przyznawał, ściskały mu serce; bo też ten polski chłop, oderwany od ojczystego gniazda, był naprawdę dzieckiem bezradnem i naprawdę był na woli Bożej. Przytem wszystko to, co widział, co go otaczało, nie mogło mu się w głowie pomieścić; więc nic dziwnego, że, gdy siedział teraz oto na zwoju lin, głowa ta chyliła się pod brzemieniem ciężkiej niepewności i frasunku. Powiew morski grał mu w uszach i powtarzał jakby słowo „Lipińce! Lipińce!“, czasem też poświstywał, jakby lipienieckie fujarki; słońce mówiło: „Jak się masz, Wawrzonie? byłom w Lipińcach“, ale śruba burzyła wodę coraz gwałtowniej i komin oddychał coraz szybciej, głośniej niby dwa złe duchy, które ciągnęły go dalej i dalej od Lipiniec.

Tymczasem za Marysią płynęły inne myśli i wspomnienia, a płynęły jako on spieniony gościniec, lub jak mewy za okrętem. Wspominała oto, jako jesienią, późnym wieczorem, niedługo przed wyjazdem, poszła do studni, do żórawianej, w Lipińcach wodę brać. Pierwsze gwiazdy zamigotały już na niebie, a ona ciągnęła żórawie, śpiewając: „Jasio konie poił — Kasia wodę brała“ — i czegoś jej było tak tęskno, jakby jaskółce jakiej, co przed odlotem świegocze żałośnie... Potem z pod boru, z pod ciemnego ozwała się przeciągle ligawka, a to Jaśko Smolak, koniucha, dawał znać, że widzi, jak się żóraw chyli i że zaraz nadjedzie z „potrawów“. Jakoż zadudniło, nadjechał, zeskoczył ze źrebca, potrząsnął konopną czupryną, a co jej mówił, to wspominała, jakby granie

jakie. Przymknęła oczy i zdawało się jej, że Smolak znowu szepcze do niej drgającym głosem:

— Kiej się twój tatulo uparli, to i ja zadatek dworski oddam, chałupinę sprzedam i pojadę... Maryś moja — mówił — gdzie ty będziesz, tam i ja żórawiem w powietrzu polecę, kaczorem wodą popłynę, złotym pierścieniem się po gościńcu potoczę, a znajdę cię, jedyna. Albo dola jakowa bez ciebie? gdzie ty się obrócisz, tam i ja się obrócę; co się z tobą stanie, to stanie się i ze mną; jedno nam życie i jedna nam śmierć: a jakem ci tu nad wodą studzienną ślubował, tak mnie niech Bóg opuści, jeślić ja cię opuszczę, Maryś moja jedyna.

Wspominając te słowa, Marysia widziała i ową studnię, i miesiąc wielki, czerwony nad borem, i Jaśka jakby żywego. Miała też w tem rozmyślaniu ulgę i pociechę wielką. Jasiek chłop był zawzięty, więc wierzyła, że co rzekł, to spełni. Ot! chciałaby tylko, żeby teraz był przy niej i słuchał z nią razem morskiego szumu. Z nimby było weselej i raźniej, bo on się nikogo nie bał i radę sobie umiał wszędzie dać. Co on tam teraz robił w Lipińcach, kiedy już pierwsze śniegi spaść musiały? Czy do boru z siekierą pojechał, czy konie obrządzał, czy może go ze dworu z saniami gdzie posłali? czy poręble na stawie rąbał? gdzie on jest teraz serdeczny? Tu dziewczynie uwidziały się teraz Lipińce całkiem takie, jak były: śnieg skrzypiący na drodze, zorza rumiana między czarnemi gałęziami bezlistnych drzew, stada wron, ciągnące z krakaniem od boru ku wsi, dymy, idące z kominów ku górze, zamarzły żóraw przy studni, a w dali bór, od zorzy czerwony i śniegiem przytrząśnięty.

Hej! gdzie tu ona teraz była! gdzie ją tatusiowa wola zawiodła! W dali jak okiem sięgnąć, jedno woda i woda, zielonawe bruzdy i zapienione zagony, a na onych wodnych polach niezmierzonych ten jeden okręt, ptak zabłąkany; niebo na górze, pustynia na dole, szum wielki i niby płakanie fal i poświst wiatru, a tam, przed dzióbem statku, chyba dziewiąta ziemia, chyba kraj świata...."

Chwilę powyżej opisaną zobrazował nam znakomicie rodak nasz W. Wodzinowski w „Albumie jubileuszowym" H. Sienkiewicza.

* * *

Lunatyczka. — Illustracya zamieszczona na stronie 560-ej obrazuje nam chwilę, w której nieszczęśliwa lunatyczka błądzi po dachu kamienicy. Lunatyzm jest to rodzaj snu, w którym czucie i władze umysłowe są uśpione, gdy władza wykonywania ruchów trwa. Osoba śpiąca, przy zupełnej nieświadomości, chodzi i wykonywa ruchy, do których przywykła na jawie. Osoby nerwowe, hysteryczne i epileptyczne są najbardziej skłonne do lunatyzmu. Nazwa „lunatyzm", pochodząca od wyrazu łacińskiego „*luna*", (księżyc), powstała z pojęcia, jakoby lunatycy wszystkie ruchy wykonywali pod wpływem księżyca. Bliższe warunki powstania lunatyzmu są nieznane. *— ski*

Zabójstwo carewicza Iwana.

16-go lipca 1764-go roku.

(Dokończenie.)

Znając przewrotność i podłość Katarzyny, której ręka i serce nigdy nie drgnęły przed żadnym występkiem, wierzymy zupełnie temu opowiadaniu, gdyż oprócz głosu narodu przekonywują nas następne fakta:

Katarzyna w manifeście swoim, wydanym na imię senatu d. 17-go sierpnia 1764 r. mówi;

— Gdy za wolą Boga i życzeniem ludu wstąpiliśmy na tron rosyjski, wiedzieliśmy bardzo dobrze, że książę Iwan, urodzony z Antoniego księcia Brunszwiku i z księżny Anny Meklemburskiej, był jeszcze przy życiu. Ten książę, jak wszystkim wiadomo, jeszcze w kolebce był naznaczony zupełnie nieprawnie następcą carskiej korony, lecz wola Wszechmocnego usunęła go na zawsze, i berło przeszło do prawej córki Piotra Wielkiego, sławnej pamięci naszej ukochanej ciotki cesarzowej Elżbiety.

Wstąpiwszy na tron, po podziękowaniu Bogu za łaskę, najpierwszą rzeczą naszą było zajęcie się ulżeniem losu księcia, wolą Boga pozbawionego tronu i nieszczęśliwego od dzieciństwa. Życzyliśmy sobie obaczyć go osobiście, żeby poznać zdolności duszy i zapewnić mu życie spokojne, stósownie do charakteru i wychowania, które otrzymał. Jakież było nasze zdziwienie, gdy obaczyliśmy, że on nietylko tak się zająkał, że go zrozumieć nie można było, lecz że zupełnie był pozbawiony rozsądku. Wszyscy, którzy byli z nami, widzieli, ile cierpiało serce nasze na ten tak smutny widok, i przekonali się, że nic lepszego nie można było zrobić dla tego nieszczęśliwego księcia, jak pozostawić go na tem samem miejscu, gdzie się znajdował, dawszy mu wszelkie wygody do życia. Stósownie do tego, wydaliśmy rozkazy, chociaż stan jego nie pozwalał mu pojąć zmiany, bo on nie poznawał ludzi, nie mógł odróżnić dobra od złego, nie umiał czytać, aby odpędzać nudę, i cały czas spędzał na zajęciach, które pokazywały zupełne pomieszanie zmysłów.

Nam się zdaje, że oprócz tego, żeby pozostawiać waryata, człowieka pozbawionego rozsądku, nie mogącego mówić, jednem słowem zupełnego idyotę w więzieniu, w zamknięciu pod sekretem, daleko dogodniej było wypuścić go, aby się każdy przekonał o niezdolności jego do panowania. Czegóż było lękać się ze strony takiego człowieka? komu mógł on szkodzić? nie mogąc mówić nawet, nie mogąc wyrazić myśli swoich; kogóż miał skłonić na korzyść swoją? Któżby myślał o posadzeniu na tron idyoty, bydlęcia? Katarzyna była zbyt przebiegła, żeby nie skorzystać z umysłowego stanu księcia, a jeżeli nie skorzystała, to zapewne dlatego, że to wszystko było największem kłamstwem.

Manifest carycy mówi dalej: „żeby więc nie pozwolić złym ludziom naprzykrzać się księciu lub użyć osoby jego do naruszania spokoju publicznego, rozkazaliśmy dać mu dobrą straż, pod dowództwem dwóch godnych i wiernych oficerów.

Dalej w manifeście, w opisaniu samego wypadku powiedziano: „Własiew i Czekin, widząc siłę, której oprzeć się nie byli w stanie, musieli obrać jedyną drogę, która według ich zdania pozostała, to jest ubezpieczyć spokojność publiczną, zabijając nieszczęśliwego księcia."

Oficerowie przeznaczeni do strzeżenia Iwana objawili Mirowiczowi, że mają instrukcyę zabić go, jeżeli nie będą w stanie oprzeć się tym, którzy zechcą go uwolnić, a Katarzyna mówi, że oni to zrobili z własnego popędu. Jakże wyjaśnić tę sprzeczność?

Poseł Bukinham donosząc swemu dworowi o śmierci Iwana, pisze: „W czasie tego procesu zaszły wypadki bardzo przykre dla carycy, a mianowicie: staranie się niektórych sędziów, by dowieść, że nie było żadnej konieczności, mogącej usprawiedliwić zabójstwo księcia Iwana." Tych słów kilka z ust bezstronnego człowieka dla nas mają bardzo wielkie znaczenie.

Nakoniec wynagrodzenie Własiewa i Czekina, pierwszego rangą pułkownika a drugiego rangą kapitana, i naznaczenie im aż do śmierci 10 tysięcy rubli rocznej pensyi na dożywocie pokazuje, że postępek ich był przyjemny Katarzynie, i ona aprobowała go najzupełniej.

Zestawiwszy to wszystko, przechodzimy do przekonania, że cała ta sprawa była przygotowana przez przebiegłą intrygantkę i zbrodniarkę, Katarzynę II., i że opinia publiczna nie myliła się,

przypisując jej zbrodnię dokonaną na Iwanie.

Powiemy teraz słów kilka o tem, co się stało z resztą famili Iwana.

Rejentka w towarzystwie męża i dwóch małoletnich córek, Katarzyny i Elźbiety, przybyła w 1744 r. do Chołmogór. Tu w 1745 powiła syna Piotra, a w 1746 r. syna Aleksieja, po którego przyjściu na świat umarła. Oprócz tych dzieci u księcia Brunszwickiego były i z nieprawego łoża, które mieszkały razem z nimi. W Chołmogórach rodzina Iwana umieszczoną została w archirejskim domu, który z jednej strony oddzielony był od katedralnej cerkwi wysoką ścianą, a z drugiej był otoczony palisadą. Wewnątrz u wrót, znajdowały się koszary na mieszkanie żołnierzy, trzymających straż pod dowództwem podpułkownika i trzech oficerów. Druga warta zupełnie oddzielna stała w tym domu, w którym mieszkali zesłani. Te dwie warty, stosownie do rozkazu, nie miały żadnych stosunków między sobą. Bez pozwolenia namiestnika nikt nie mógł odwiedzać więźniów, nawet gdy potrzeba było lekarza, to go przyprowadzał namiestnik. Ten ostatni przyjeżdżał do nich bez właściwej potrzeby, tylko na wielkie święta, i odjeżdżając brał zawsze klucze od wrót z sobą.

Z okien swoich więźniowie widzieli z jednej strony Dźwinę, z drugiej piaszczystą drogę do Petersburga, a z trzeciej ogród, w którym oprócz skarłowaciałych brzózek, paproci i pokrzywy nie było żadnych roślin. Wewnątrz ogrodu, na stawie, otoczonym aleją, pływała zgniła łódka, na której już nie można było jeździć. Około stawu stała wozownia, gdzie się znajdowała stara kareta, w której pozwalało się więźniom czasami odjeżdżać od domu na 600 kroków; w takie dni solenne zaprzęgano 6 koni do karety, a miejsce furmana lokaja i forysia zajmowali żołnierze. Na tej ciasnej przestrzeni ograniczały się wszystkie ich przechadzki. Nikogo nie widywali, oprócz ludzi przeznaczonych do posługi. Czytać mogli tylko pismo święte, bo innych książek im nie dano, mówili po moskiewsku i trochę po niemiecku. Wist i lombr były ich jedyną rozrywką, o sztukach zaś pięknych, o naukach, o zachowaniu się w towarzystwie wiedzieli tylko tyle, ile nauczyć mógł ich ojciec znękany wiekiem i nieszczęściem.

Caryca Katarzyna chcąc dowiedzieć się w jakiem położeniu znajduje się ta rodzina, posłała w 1762 r. to jest w 22 lata po uwięzieniu jej, jenerała Biaikowa, nie dlatego, żeby objawić swobodę tym nieszczęśliwym, którzy już jej zaszkodzić nie mogli, lecz jak pisała w instrakcyi danej Bibikowi: „żeby on dobrze zauważał, w jakim stanie znajduje się rozsądek księcia Brunszwickiego po tak długiem więzieniu, a osobliwie jakie są zwyczaje i obyczaje dzieci jego.“

Widać, że jeszcze chwiała się na tronie ta nowa Messalina, bo i po powrocie Bibikowa rodzina Anny pozostała w Chołmogórach, i losu jej nie ulżono. W 1776 r. książę Antoni Ulrych umarł, pozostawiwszy dzieci zupełnie bez opieki.

Jeszcze cztery lata biedna ta rodzina cierpiała od nieludzkiego i arbitralnego obejścia się przełożonych; nakoniec w 1780 r. widząc, że panowanie jej już dobrze utwierdzone, Katarzyna odważyła się dać rozkaz odwieźć te dzieci do krewnego ich, króla duńskiego. Z kasy państwa wydane były 200 tysięcy rubli na sprawienie im przyzwoitej garderoby, zakupno srebra i biżuteryi. Drogie futra, brylanty wydane były z gabinetu carskiego. Z największą tajemnicą wywieziono ich 17-go czerwca z Chołmogór, i już gdy się znajdowali na morzu, namiestnik Mielgunów objawił im, dokąd ich wiezie. Wiadomość ta przestraszyła ich bardzo mocno, gdyż oni już przestali myśleć o swobodzie, i jechali do ziemi zupełnie im nieznanej. Prosili o pozwolenie pozostać im w Chołmogórach, i skończyć dni swoje w tem miejscu, żeby im dano było tylko cokolwiek więcej swobody. Jednak, gdy Mielgunów pokazał im bogate podarunki, przywiezione z Petersburga, tem tak się ucieszyły, że ukląkłszy przed nim całowali jego ręce i nogi.

Przecierpiawszy burzę na Północnym morzu przybyli do Bergen, w Norwegii. W tym mieście poboczne dzieci Antoniego Ulrycha musiały pożegnać się z braćmi i siostrami, bo jako poddanych moskiewskich Katarzyna kazała odesłać nazad do Moskwy. Barbarzyństwo carycy jeszcze raz zajaśniało w całej swojej świetności!...

J. S.

Z teatru.

Mieszczanie — sztuka w 4 aktach Maksyma Gorkija.

Imie Gorkija zwabiło licznych widzów na „Mieszczan“, lecz jakieś wielkie zdziwienie owładnęło nimi niby czarna chmura i w toku przedstawienia przechodziło w nudę, w nieprzeparty niesmak, jaki ongi Zola w zaraniu swej karyery wzbudzał w masach swym szczerym realizmem. Jeden z mych sąsiadów zaopiniował lapidarnie: „to nie ma sensu!“, wziął się i poszedł. Inni, mniej szczerzy wytrwali do końca z poczuciem bezradności w labiryncie scen, nic im nie mówiących, i z wielkim znakiem zapytania w duszy. Nie mogli pochwycić wątka sztuki, spoić wrażeń w jednę całość, rozproszyć enigmatycznego chaosu. Patrzeli na „Mieszczan“ jak na sztukę teatralną, a tymczasem, aby zainteresować się tą sztuką teatralną, aby pojąć ją, zgłębić i zachwycać się ogromnym artyzmem twórcy co naturalizm Szczedrina łączy przedziwnie z marzycielskim mistycyzmem Dostojewskiego, trzeba spozierać na nią jak na *szmat życia*, a więc obserwować, zatapiać się w wieczystą zagadkę życia, szukać — człowieka.

Z niemal brutalnym naturalizmem wydarł Gorkij z księgi życia rosyjskiego kilka kartek, pogłębił je z całą intensywnością psychologa, zapatrzonego po przez pryzmat człowieka w zaświaty obłoczne i odsłonił przed nami obraz w półmroku swej refleksyjnej, marzycielskiej duszy, owianej wrodzonym mu specyalnie słowiańskim pesymizmem. Wszystko w dramacie dzieje się jak w życiu; trywialnymi szczegółami autor spotęgował ogromnie wrażenie realizności, tak że chwilami przychodzi do nas samo życie, narzuca się nam z poprostu bajeczną siłą. Ot np. pod oknem siedzi posępny syn Bezsiemonowa, obcy wśród swoich, a przy stole śpiewak kościelny Tieterew, pijak-włóczęga samotnik-filozof, i snuje półgłosem, odniechcenia pasmo starganych refleksyi a słowom jego — jak nieraz w rzeczywistości — wtórzą dźwięki harmoniki z podwórza, namolne, skoczne, które zakłócając nastrój, potęgują kontrastem zarówno wrażenie smutku duszy mówiącego jak prawdy życiowej.

Ale nie ma tak objektywnego dzieła sztuki, w którem nie przeważałby pierwiastek subjektywny. Odnajdujemy zatem Gorkoja już nietylko w Tieterewie i w miłośniku ptasząt i natury Pierczychynie, ale na wszystkich postaciach na całym szarym obrazie spoczywa wyraźne piętno potężnej a oryginalnej indywidualności, której Gorkij zawdzięcza swą sławę.

Ciekawy to światek. Znajdziemy w nim charakterystyczny obraz małomieszczaństwa rosyjskiego, znajdziemy starych i młodych, zasadnicze tony i półtony zbiorowej duszy rosyjskiej a nawet krytyczny pogląd autora na dwie generacye.

Bezsiemionow, zamożny mieszczanin kojarzy w sobie cechy filistra rosyjskiego: chciwość grosza i nienasycony głód pokłonów, zaszczytów. Samodzierca w ciasnem

swem kółku tyranizuje wszystkich i toczony przez robaka małych ambicyi żżyma się na wszystko, co nie ugina się przed nim. Więc gryzie słowami, zatruwa życie domownikom. Potulna, poczciwa żona zgnębiana przez niego, zmiażdżana w proch, nie zdradza ani własnych odruchów duszy, ani osobistych pragnień. Myśli ona jego głową, soki życiowe czerpie z jego osoby. Ale syn i córka to osobniki jego generacyi. Słuszność ojcowskich napomnień, apostrof i kazań jest im „obcą." Przeciw nim przeto zwraca się szczególnie autokratyczna furya Bezsiemionowa. Pieni się on, że dzieci nie okazują mu dość przywiązania, nie płaszczą przed nim, nie idą drogą, jaką im wskazuje i tak rzuca na nie tuman przygnębienia, unieszczęśliwia je, odpycha od siebie i domowego ogniska. Piotr i Tatiana to dwie złamane, chore dusze, istoty bez woli, bez inicyatywy, pędzące żywot pasożytniczy w atmosferze naładowanej elektrycznością. Oboje słabi słaniają się jak bluszcz na drzewo ku osobnikom silnym, co dały by im podporę moralną: Tatiana kocha maszynistę Niła, uosobienie siły młodzieńczej, Piotr zaś wyciąga ramiona ku pogodnej wdowie Kriwcowej. Lecz cicha, smutna jak cień Tatiana nie wzbudza afektu w piersi męzkiego maszynisty; Nił ubóstwiający życie w wszystkich przejawach zaręcza się z biedną szwaczką Polą, pełną młodzieńczego zapału i wdzięku. Więc zrozpaczona Tatiana bierze truciznę. Wprawdzie lekarz wyrywa ją z rąk śmierci, lecz dusza jej zatruta na zawsze. Piotr szczęśliwszym od siostry. Nie znajduje on dość w sobie odwagi, by wbrew woli rodziców połączyć się z kobietą nie dość bogatą, ale w piersi Heleny rodzi się do niego miłość i wykwita na gruncie współczucia, jakiem ta kobieta luźnych obyczajów darzyła przestępców. Helena sama sięga po niego, uprowadza go z sobą. Inne pary fruwają z nimi i kurtyna zapada nad Tatianą, samą, bardzo samą, skazaną na powolną śmierć w przygnębiającem środowisku.

W to grono osób wplótł autor wcielenie odbłysku samego siebie, swych upodobań i popędów, swych myśli i losów — wplótł Tieterewa, który w swem odosobnieniu silny wznosi się duchem ponad innych i patrzy na swe otoczenie z wyżyn społeczno-etycznych.

Poglądy swe ubiera w szatę nieco mistyczną jak prostaczy sekciarz rosyjski, jak pierwotny twórca Tołstoizmu, który pod chłopską sukmaną krył oryginalny systemat filozoficzny, wysnuty z biblii, lecz pod tym jego spokojem grobowym znieczulonej napozór istoty kipi krew buntowszczyka, rewolucyonisty, który za złe w trójnasób złem płacić każe. Nienawidzi on słabego Piotra i ma uśmiech cierpki na ustach dla tego przedstawiciela młodych. W końcu wypowiada się w tej materyi. Powstrzymuje wybuch gniewu starego Bezsiemonowa zapewnieniem, że syn jego, chwilowo krnąbrny, sfilistrzeje, przeobrazi się w pospolitego zjadacza chleba. Tkwi w wynurzeniach włóczęgi głęboka, surowa krytyka młodych marzycieli rosyjskich.

Autor włożył w sztukę zbyt wiele, abyśmy mogli zwrócić uwagę na wszystkie skarby jego ducha, rozsiane w „Mieszczanach."

Wykonanie sztuki było nadzwyczajnie staranne. Z pietyzmem dla dzieła sztuki, z zapałem opracowali wszyscy wykonawcy swe role i dostroili się dobrze do minorowego tonu. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do pana *Stradiota*, który miał zadanie o tyle wdzięczne o ile ogromnie trudne, Pominąwszy pewną jednostajność p. Stradiot stworzył szczęśliwie postać włóczęgi, zgodnie z intencyą autora i za tę kreacyę zasłużył na serdeczny poklask. Nie wynika z tego wszakże, aby nie mógł jeszcze więcej pogłębić roli i zaakcentować pewnych momentów tak świetnie jak n. p. w akcie drugim, w chwili, gdy Tieterew z pod serca wyjmuje bryłę swego rewolucyjnego ducha.

Bardzo odpowiednią rolę dla siebie miał p. Turski jako Bezsiemionow, który wywiązał się też z niej bardzo zaszczytnie. Ptasznik Pierczychin miał wybornego interpretatora w panu Rygerze, którego publiczność wyszczególniła oklaskami. Nie posiadając wszystkich odpowiednich warunków do tej roli, a mianowicie lirycznych wdzięków głosowych, jakich wymaga kreacya Pierczychina, p. Ryger jednak wcielił się świetnie w tę dziwaczną postać i odtworzył ją z pomysłowością, godną prawdziwego artysty. Tatiana w grze pani Orwid wyszła nieco blado. Aż do chwili, w której się truje, nie pozostawiła prawie nic do życzenia: zaznaczyła umiejętnie swą miłość do Niła, swe przygnębienie i katusze duchowe wobec scen domowych. Natomiast złożona niemocą giestykulowała zbyt żywo i nie dość subtelnie uwydatniała apatyę w momentach końcowych. P. Prochaska nastroił się na właściwą nutę i zagrał Piotra odpowiednio, lecz nie ujawnił afektu do Kriwcowej, którą panna Podgórska zrobiła bardzo miłą i sympatyczną. Szczęśliwie uniknęła czułostkowości a podniosła szczerość i prostotę natury Kriwcowej, dając nietyle nieokrzesaną kobietę luźnych obyczajów ile rubaszną studentkę z pospolitego domu. P. Poleński dał nieco płytką, lubo udatną sylwetkę Niła; nie odczuliśmy w maszyniscie ideowego podkładu. Pani Sznage z wdzięcznej roli prostej Poli wywiązała sie dobrze. Nie mniej panna Marjewska zadowoliła nas jako nauczycielka. Mówiła ładnie, uwydatniając miły organ i zdradzając, że pracuje nad sobą i postępuje, lecz przestrzegamy przed manierą w dykcyi. P. Kalinowski jako student czuł się zupełnie w swej skórze. Pani Królikowska była bez zarzutu a pani Czerniakowa wprost wyborną kucharką z miny i czupryny.

Wszystkim aktorom wyrażamy słowo uznania za rzetelną pracę, której zawdzięszaliśmy widowisko dobre jako zespół a nadzwyczaj interesujące dla miłośników literatury w ścisłem znaczeniu.

Roman Rola.

KRONIKA.

Kto był na koncercie Sokoła w dniu 3-go maja miał czemu się napatrzyć. Oto oddział Sokolic wykonywał ćwiczenia, przykuwając oczy widza ruchami pełnemi wdzięku, harmonii i siły. Bardzo to dobra myśl. Właśnie tego rodzaju ćwiczenia rozwijają ciało, nadają mu elastyczności, wzmacniają mięśnie, wpływają na dobre, żywe krążenie krwi i są podstawą zdrowia. Niech żyją nasze *Sokolice!*

Lecz równocześnie wołam niech żyje *„Lutnia"*, która d. 17 b. m. zamierza urządzić koncert. Oprócz produkcyi chórowych usłyszymy śpiewaków tak wybitnych jak Gębarzewski a wystąpią też inne jeszcze siły, dobrze wyszkolone i o obszernym głosie.

Niektórzy zarzucają „Lutni", że Towarzystwo daje względnie mało własnych produkcyi a krasi swe koncerty występami sił sprowadzonych z Warszawy, Lwowa, Krakowa, z pierwszorzędnych scen i estrad polskich.

Cóż w tem złego?

Czyż błędem jest, że *„Lutnia"* daje nam sposobność słuchania sił utalentowanych i wyszkolonych? Czyż nie wpływa to na wykształcenie muzyczne ogółu, na podniesienie zamiłowania do muzyki i śpiewu, gdy publiczność słyszy piosenkę poprawnie i ze znajomością sztuki śpiewnej oddaną, gdy publiczność usłyszy muzykę artysty, a nie dyletanta?

Nie — zarzuty, te są niesłuszne. *„Lutnia"* ma nie tylko zadanie ćwiczenia śpiewu, lecz także szerzenie zamiłowania do śpiewu, podnoszenia zmysłu muzycznego, a do tego jedyny sposób, gdy brak sił miejscowych, sprowadzanie sił skądinąd.

Przysłano na moje ręce, jako „kronikarza" „Pracy", sprawozdanie „Tow. Kol. Wak. i Stacyi Sanitarnej Stella."

Przeglądam je ciekawie i spostrzegam, że Towarzystwo rozwija się stale i w pracy nie ustaje.

Ze sprawozdania za rok 1901 i 1902 przekonuję się, że Tow. w przeciągu lat 6 zdołało nabyć odpowiedni grunt w Kobylnicy, zbudować tamże stósowne budynki dla dziatwy i urządzić *stacyą sanitarną*. Zakład cały wart jest zwiedzenia. W tym rokn stanąć ma z ofiar publicznych kaplica.

W przeciągu lat sześciu wysłało Towarzystwo **869** dzieci na wakacye do domów gościnnych oprócz tego umieszczało Towarzystwo na swych stałych koloniach najpierw w *Żabikowie*, potem w *Kobylnicy* od 50 do 130 dzieci. Liczmy, że przeciętnie umieszczało Tow. na swych koloniach po 90 dzieci otrzymamy na całe 6 lecie sumę *540*, co razem z poprzedniemi uczyni **1409** dzieci.

Jakiem dobrodziejstwem jest taki wypoczynek na świeżem powietrzu dla bezkrwistej dziatwy szkolnej poznańskiej, o tem rozpisywać się nie potrzebuję. Wskażę natomiast, że najlepszym dowodem na to jest wielki przyrost na wadze skonstatowany i w tym roku. Tak przybyło dziewczętom przez czas czterotygodniowego pobytu $5^1/_2$ funta, przeciętny przyrost $4^1/_4$ funta, chłopcom przybyło najwięcej $4^3/_4$, przeciętny przyrost wynosił $3^2/_3$ funta.

Oprócz kolonii w Kobylnicy urządził rodzaj stałej Kolonii książę Radziwiłł w Antoninie, ofiarując rok rocznie gościnę 10 chłopcom, pani Turnowa w Lulinie przyjęła w tym roku 25 dziewcząt. *Cześć tym zacnym przyjaciołom biednej dziatwy!* Towarzystwo udziela też mleko tym dzieciom, które nie mogły być wysłane na wakacye; wydano na to 238,80 mk. Wydzielaniem mleka zajmują się niestrudzone w czynach miłosierdzia Siostry przy zakładzie św. Józefa w Poznaniu.

W Stacyi Sanitarnej, umieszczającej dzieci na czas rekonwalescencyi po przebytej chorobie, starczyły fundusze na utrzymanie 6 łóżeczek. I ta instytucya stoi tylko ofiarnością kilku rodzin jak książąt Radziwiłłów, Czartoryskich, państwa Kościelskich z Miłosławia i innych. Zestawienie kasowe Stacyi Sanitarnej wykazuje dochodu 3289 mk., rozchodu 3014, tak że w kasie jest gotówką 275 mk. Fundusz żelazny Stacyi Sanitarnej wynosi 8384,00. Kolonie Wakacyjne wykazują dochodu 8408.91, rozchodu 7150, tak że pozostał w kasie remanent 1258 mk. Remanent ten jest jednakże tylko na papierze, ponieważ pozostają znaczne zaległości za meljoracye i reparacye w budynkach a że Towarzystwo potrzebuje najmniej do roku 3600 mk. na utrzymanie instytucyi, więc ***datki ofiarne bardzo są pożądane i potrzebne.***

Rozpisałem się o tem wszystkiem obszerniej, ponieważ teraz rozpocznie się agitacya na rzecz instytucyi, będą odezwy wzywające do przyjmowania dziatwy w gościnę i odezwy zachęcające do zapisywania się na członków Tow. Zapisywać się można na członka u skarbnika Tow. p. *Bol. Ziętkiewicza*, Bazar, ul. Nowa (firma Otmianowski.) Składka wynosi rocznie *najmniej 6 mk.*
Do zarządu wybrano na lat 3 pp. W. Benzelstjerna-Engestroema, Cz. Foerstera, Walerego Łebińskiego, *(sekretarz)* Bol. Ziętkiewicza, (*skarbnik*) K. Adamskiego, ks. Zdz. Czartoryskiego. J. Czorbę, dr. T. Dembińskiego, I. Głębockiego, A. Januchowskiego, L. Frankiewicza, dr. Bol. Krysiewicza, dr. Wł. Łebińskiego, X. pr. A. Stychia, St. Trzeciakowskiego, hr. Józefa Tyszkiewicza, Józefa Winiewicza, K. Żółtowskiego ze Słupów.

Alfa.

Wiadomości.

— **Wiec przedwyborczy** w Kostrzynie odbędzie się w niedzielę, 17-go maja r. b., na sali strzelnicy o godz. 4-tej po południu.

Porządek dzienny:

1. Zagajenie i wybór przewodniczącego.
2. Nauka o wyborach.
3. Przemówienie posła p. Głębockiego.
4. Wolne głosy.

Pomiędzy uczestników wiecu rozdawane będą broszury „Nauka o wyborach.“

Komitet.

— **Najprzewielebniejszy** Ks. Arcybiskup obchodził dnia 4-go b. m. 61-szą rocznicę imienin. W wigilię imienin składali życzenia najpierw wychowańcy tutejszego konwiktu arcybiskupiego pod przewodnictwem ks. prałata Meszczyńskiego i ks. rektora Beyera. Następnie wyrazili członkowie Kapituły przez usta ks. infułata Wanjury życzenia, a w imieniu duchowieństwa dekanatu poznańskiego przemawiał ks. dziekan i radzca Kotecki. Przybyły wreszcie deputacye i członkowie tutejszych Towarzystw polskich w wielkiej liczbie ze sztandarami i złożyły przez usta swych patronów i prezesów gorące życzenia Najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi.

W dniu imienin liczni obywatele składali osobiście życzenia.

Wogóle z licznych bardzo ustnych i nadesłanych z blizka i z daleka powinszowań zauważyć było można wielką cześć i gorące przywiązanie tak obywatelstwa jak też spracowanego ludu do Swego Zwierzchnika Kościoła.

Życzymy Najprzewielebniejszemu Ks. Arcybiskupowi, aby jak najprędzej powrócił do zupełnego zdrowia, i aby pasterzował jeszcze jak najdłuższe lata Bogu na chwałę, kapłanom na chlubę, a wiernym na pożytek.

— **Nasz proces prasowy.** Izba karna sądu ziemiańsk. w Raciborzu skazała dnia 13-go września r. z. byłego naszego odpowiedzialnego redaktora, pana Józefa Niemirowicza z Poznania, za rzekomą obrazę sołtysa Durczoka z Kobyły na Górnym Śląsku na sześć miesięcy więzienia. Pana Kocura z Kobyły, domniemywanego autora zamieszczonej korespondencyi, w której się dopatrzono obrazy wyżej wspomnianego sołtysa, skazano jednocześnie na trzy miesiące więzienia.

Na skutek rewizyi wniesionej do sądu Rzeszy w Lipsku przez obu zasądzonych przekazano raz jeszcze sprawę tę do ponownego osądzenia wyżej wzmiankowanemu sądowi ziemiańskiemu. Terminy odbyły się w dniach 27-go i 29-go z. m. Tym razem skazano p. Niemirowicza na trzy miesiące więzienia i p. Kocura także na trzy miesiące więzienia. Zasądzeni przeciwko drugiemu wyrokowi założyli znowu rewizyę do sądu Rzeszy w Lipsku.

— *Koncert Lutni.* Dowiadujemy się, że Koncert Lutni, ostatni w tym sezonie, niezwykle będzie urozmaicony, a odbędzie się na sali wielkiej Lamberta dnia 17-go maja r. b. o godz. pół do 8mej wieczorem. Ceny biletów jak zwykle 3, 2, 1 m. i 50 fen. Bilety dla wielkiego popytu wcześnie już, bo od niedzieli dnia 3-go maja oddał Zarząd Lutni znanej firmie A. Rose, ulica Nowa. Członkowie mają prawo do dwóch biletów w połowie ceny.

Piękne pocztówki patryotyczno-narodowe w 10-ciu seryach wyszły nakładem zasłużonego naszego Jubilata, p. J. Chociszewskiego, w Gnieźnie. Każda serya (10 sztuk) sprzedaje się po 30 fen. z wyjątkiem IV za 20 fen, i IV za 75 fen., która zawiera prześliczne obrazki narodowe z pierwowzorów Eljasza. Na przesyłkę franko każdej seryi dopłaca się 5 fen. — Zamawiać należy pod adresem: J. Chociszewski, Gniezno (Gnesen.)

— *Na ogłoszenie* „specyalne przedsiębiorstwo instalacyi elektrycznych inżyniera p. F. Biskupskiego“ w Poznaniu, św. Marcin nr. 41, zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom. Zakład p. B. wykonuje wszelkie praktyczne nowości w tej gałęzi możliwe.

— *Fabryka* wyrobów złotniczych o sile elektrycznej p. Stanisława Mańczaka w Poznaniu przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 24, poleca hurtownie i detalicznie wszelkie wyroby ze złota, srebra i alfenidy. Wybór bardzo obfity, ceny najtańsze.

— *Skład żelaza* p. St. Nawrockiego w Lesznie poleca maszyny do prania, do robienia masła i inne, meble ogrodowe, wszelkie towary żelazne oraz szkło i porcelanę po cenach tanich.

— *Na ogłoszenie* p. P. Pokory, fabrykanta cygar w Wejherowie, p. t. „Wyjątkowa oferta“ zwracamy baczną uwagę amatorom cygar.

— *Pan Edward Litwinski* otworzył w Poznaniu przy W. Garbarach nr. 29 pierwszy polski *hurtowny handel skór* na W. Ks. Poznańskie, Prusy i Ślązk. Przedsiębiorstwo to rodaka polecamy Szanownej Publiczności, mianowicie pp. mistrzom szewskim, rymarskim, powoźnikom i pantoflarzom i zasyłamy p. L. staropolskie „Szczęść Boże!“

— *Pani J. Depczyńska* otworzyła przy ulicy Wrocławskiej nr. 31, skład stroju i towarów krótkich. Skład zaopatrzony jest obficie w sezonowe najmodniejsze artykuły damskie i męzkie.

— *Meble* skromne i wykwintne po najtańszych cenach polecają pp. Gabryelewicz i Tyranowski w Poznaniu przy ulicy Wiktoryi 14. Dogodne warunki, spłaty ratami.

— *Pan* inżynier Kazimierz Gaertig założył biuro techniczne pod firmą K. Gaertig i Sp. przy ul. Wiktoryi nr. 1. Polecamy nowe to przedsiębiorstwo łaskawym względom Szanownej Publiczności, odsyłając jednocześnie do inseratu w dzisiejszym numerze.

— *Wydawca „Komara,“* pan Słupski, skazany w roku zeszłym na 6 miesięcy więzienia za obrazę majestatu, został w grudniu r. z. z powodu choroby wypuszczony na urlop. Pan S. przeleżał 6 tygodni i jeszcze dziś zdrowia dawnego nie odzyskał. Mimo to minister odrzucił wniosek zamienienia mu pozostałych jeszcze 27 dni na twierdzę lub szpital. Chory przeto miał się dnia 1-go b. m do więzienia znów stawić, ale mu w ostatniej chwili prokuratorya odroczyła termin do 15-go b. m. Dzięki temu żadne nie zajdzie opóźnienie w dalszem wydawnictwie pisma.

Zmarli:

† *S. p. Karol Domagalski* dnia 26-go z. m. w Poznaniu.

† *S. p. Marya z Stryczyńskich* Sicińska w Bardzie pod Wrześnią dnia 29-go z. m.

† *S. p. Kazimierz Leszner* dnia 30-go z. m. w Poznsniu.

† *S. p. Franciszek Kopliński* dnia 1-go b. m. w Poznaniu.

Ruch w Towarzystwach.

— *Z nadesłanego nam sprawozdania* Towarzystwa Kolonii wakacyjnych i stacyi sanitarnej „Stella“ w Poznaniu za rok 1901/1902 wyjmujemy następujące dane: „W maju rozpoczęliśmy, jak rok rocznie, agitacyą w celu uzyskania jak najobszerniejszej gościny dla dzieci naszych na wsi w domach obywatelskich. W tym celu wysłaliśmy około 800 odezw do obywateli ziemskich i duchowieństwa. Poniższy wykaz daje miarę zainteresowaniu się naszą instytucyą:

w r. 1897 —	40 dobrodzieji	dla	99 dzieci
„ „ 1898 —	25 „	„	129 „
„ „ 1899 —	41 „	„	164 „
„ „ 1900 —	46 „	„	181 „
„ „ 1901 —	51 „	„	134 „
„ „ 1902 —	46 „	„	163 „
			869 dzieci

Ogółem wysłaliśmy w 6 latach do domów gościnnych 869 dzieci. Mamy nadzieję, że szanowne duchowieństwo i ziemiaństwo nie odmówi nam poparcia nadal — cieszymy się nawet nadzieją, że coraz liczniej będą domy gościnne otwierały swe podwoje dla dziatwy naszej.

Oprócz umieszczonych w domach gościnnych dzieci umieściliśmy na stacyi Kolonii w Kobylnicy dzieci 130. Spełniliśmy zatem życzenie wyrażone kilkakrotnie na walnych zebraniach, aby co roku więcej umieszczać dzieci na stałej Kolonii, dopóki nie dojdziemy do przewidzianej rozmiarem budynków liczby dziatwy.“

Od Redakcyi.

Pani Ofelii H. w P. — Dziękujemy bardzo za łaskawą pamięć, ale w tece redakcyjnej mamy cały stos zaległych *pięknych wierszy*, więc niemożliwem jest zamieszczanie wszystkich nadesłanych. W miejsce wierszy pożądane by były krótkie, treściwe korespondencye.

Jednemu z znajomych pana A. I. z Król. Huty. — Notatki o ślubie nie zamieściliśmy dlatego, żeś jej Pan nie potwierdził swym podpisem. Notatki bez podpisu są dla nas bez wartości i wędrują do kosza!

Panu P. D. w Janowie Górny Slązk. — Przeciw rozporządzeniu t. zw. amtowego przysługuje Panu prawo zażalenia do radzcy ziemiańskiego (landrata), a przeciw rozporządzeniu landrata do prezesa rejencyi. Czy Pan z tem zażaleniem przejdziesz, to wątpić należy, bo może być, że amtowy nie działał z własnej woli, lecz z wyższego polecenia. — Źle Pan zrobiłeś, żeś Pan dawał swemu czeladnikowi zaliczki na jego późniejszy zarobek.

Panu P. Bandurskiemu w Berlinie. — Sprawa ta jest dla nas rzeczywiście zagadkową. Wszelkie notatki nadesłane nam od Towarzystw zamieszczamy skwapliwie w dziale „Ruch w Towarzystwach.“ Z pewnością list nas nie doszedł, gdyż zdarza się często, że listy nadsyłane do nas giną.

Pani H. P. w Poznaniu. — „Zły to ptak co własne kala gniazdo.“ „Lutnia“ nie tylko pod przewodnictwem teraźniejszem, ale także pod pierwszem przewodnictwem, jak na nasze stosunki, prosperowała, a że „każdy początek jest trudny“, więc walczyć musiała nieraz z mozołami, które później łatwiej usunąć się dało. „Lutnia“ pod dyrekcyą znakomitego muzyka i kompozytora, p. Bolesława Dembińskiego, i pod pierwszem przewodnictwem pracowała sumiennie, tak jak jej na to pozwoliły młode siły, co niniejszem stwierdziwszy, żałujemy bardzo, że sprostowania nadesłanego zamieścić nie możemy. Winny to uczynić te zamiejscowe pisma w Krakowie i w Warszawie, które początkowe dzieje „Lutni“ przedstawiły w świetle nieprawdziwem.

Panu I. Z. Hop. w G. p. T. — Objaśni Pana najdokładniej w tej sprawie artysta-malarz p. Kazimierz Krzyżanowski w Poznaniu, ulica św. Marcina.

Panu F. W. w Marten. — Jak wykazuje książka adresowa, mieszka tam tylko radzca sprawiedliwości Tonn, Niemiec, jak nazwisko wskazuje. Nazwisk innych adwokatów w miasteczku tem nie znamy. O krótką, treściwą korespondencyą prosimy.

W. Bin. 333 Op. — Początek powieści „Męczennica w koronie“ wyczerpany. Później wyjdzie cała powieść w osobnej odbitce.

Pani W. G w S. — Kwestyami i sprawami kobiecemi zajmuje się tygodnik warszawski „Bluszcz.“ Że i podręczniki istnieją, nie ulega wątpliwości, atoli bliższą informacyą służyć nie możemy. Możeby która z księgarń poznańskich Szanownej Pani jaki poradnik wskazała?

Panu Sebastyanowi O. w Helbra. — Nie wina wcale ani Redakcyi, ani też Ekspedycyi; poczta w Poznaniu otrzymuje zamówioną liczbę egzemplarzy „Pracy“ dla swych abonentów już w każdy piątek, tak iż abonent mieszkający nawet w najodleglejszych stronach Europy może „Pracę“ otrzymać najpóźniej w niedzielę. „Czytelnicy „Pracy“ — piszesz Pan — żądają w niedzielę na poczcie pisma, a pismo przychodzi z wielką turbacyą dopiero w środę!“ Jeżeli tak jest rzeczywiście, to winna temu *tylko poczta, przeciw czemu energicznie zażalić się należy!* A może i w tym przypadku objawia się zakulisowa czynność hakatystów? Odbierasz Pan aż 14 egzemplarzy „Pracy“ z poczty, to przecież bezczelna „*grosspolnische Agitation*“ i do tego jeszcze na niemieckiej ziemi! Nawet „Tyras,“ gdyby się o tem dowiedział, zawyłby z wściekłości!! W każdym więc razie energicznie trzeba zaprotestować na poczcie w Helbra przeciw takiemu opóźnionemu wydawaniu „Pracy“ Czytelnikom.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Nowy styl w meblach.

Każdy, kto spojrzy w okno wystawne handlarzy mebli, musi zauważyć, że meble mają zupełnie inny kształt i wygląd niż dawniejsze. Od kilku lat bowiem, zwykłą rzeczy ludzkich koleją zarzucono stare formy, i w fabrykacyi mebli zapanował *nowy styl*.

Zrazu wyśmiano i ganiono rozmaite dziwaczne pomysły w pogoni za nowością — stolarze, a jeszcze bardziej właściciele składów gotowych mebli, buntowali się przeciw nowemu stylowi, głównie z obawy, co się stanie z ich zapasami, jeśli publiczność na nowe kierunki się zgodzi — lecz w końcu zwyciężyła nowość i oryginalność. Zwłaszcza Wiedeń jest dziś pełen podziwu dla mebli nowego stylu i w stolarstwie meblowem dokonywa się wielki — a powiedzmy z góry — *korzystny* dla stolarza przewrót.

Lecz nietylko we Wiedniu — i w innych miastach środkowej i zachodniej Europy, tam szczególniej, gdzie większa zamożność na większy zbytek zezwala — obudził się żywy ruch w szukaniu nowych form dla mebli i urządzeń pokojowych. W lecie zeszłego roku odbyły się wystawy takich mebli i urządzeń w Monachium i w Dreźnie, gdzie im 15 sal i pokoi poświęcono. Nie obcym jest i Berlin temu ruchowi, a oddawna wre on w Angllii, skąd, jak i we wielu innych sprawach, został na kontynent europejski przeniesiony.

Wybitni artyści, zdolni do tworzenia oryginalnych projektów, łączą się tu z wybitnymi rękodzielnikami — i tak przychodzą do skutku utwory, uderzające swą odrębnością; wśród mebli stylów dotychczasowych, wytwarza się styl nowy, który ma w sobie dość sił żywotnych, ażeby módz publicznością zawładnąć.

Wobec tego wszystkiego nie jest rzeczą wcale obojętną, ażeby i nasi rękodzielnicy, a w pierwszym rzędzie nasi stolarze starali się wcześnie i dokładnie z tym nowym kierunkiem zapoznać, bo w razie lekceważenia i zaniedbania w tym względzie, otworzą sami, ze szkodą własną, drogę pozakrajowym wyrobom, których i nasza publiczność, hołdując nowym prądom smaku, zapragnie, a nie znalazłszy ich w kraju, z zagranicy sprowadzać zacznie.

Wytworny krytyk artystyczny, Ludwik Hevesi, oceniając ostatnią wystawę w Muzeum wiedeńskiem, (w miesięczniku muzealnym „*Kunst und Kunsthandwerk*“) tak pisze: „Przeciwnicy nowego kierunku nie omieszkali oczywiście podnieść skargi, że nowatorowie chcą Wiedeń, przy pomocy artystyczno-przemysłowego słownika, na angielskie przetłómaczyć. Lecz już druga wystawa wiedeńska dowiodła, jak wiele próżnych słów było w tym krzyku. Wystawa wypadła więcej po austryacku, niż którakolwiek z poprzednich, gdzie górowały przecież rozmaite renesansy zagraniczne, a jakikolwiek pomysł wiedeński, jako bezstylowy, nie był wcale dopuszczony. Lecz przybyły nowe siły i debiut ich wypadł szczęśliwie. Nowe pomysły znalazły uznanie; w szkle, bronzie i drzewie objawiło się sporo specyficznych temperamentów — w urządzeniach pokojowych powiał nowy duch, który nie terminował przedtem i nie był czeladnikiem u zaśniedziałego tapicera. To też t. z. „interieur“ (wnętrze) stracił odrazu swój odwieczny charakter kwatery szablonowej, w której możni i niezamożni od lat czterdziestu żywot swój pędzą. Oddziałanie na publiczność przeszło wszelkie oczekiwania; poszło ono poniekąd dalej, niż sobie tego życzono, gdyż nowy kierunek zrobiono nową modą, podczas gdy Muzeum miało i ma o wiele poważniejsze dążenia co do uzdrowienia smaku w zakresie sztuki, łączącej się z przemysłem.“

Nowy ten styl meblowy nie jest zresztą z palca wyssany i nie urodził się przez jednę noc. Ma i on swoje oparcie i swoje tradycye bardzo stare. W Anglii przebija się on już od pół wieku, czerpiąc soki ze sztuki dalekiego Wschodu, z którym W. Brytania przez swe panowanie w Indyach i stosunki z Chinami i z Japonią tak bardzo jest związana.

A rozleglejsze dziś niż ongi wiadomości i studya o zabytkach i dziełach sztuki w Indyach, Persyi, dawnej Asyryi, wpływ bardzo znaczny sztuki japońskiej od czasów wielkiej wystawy londyńskiej r. 1851 i powszechnej wystawy wiedeńskiej r. 1873 — wszystko to skierowało umysły artystów do wyszukiwania nowych motywów dla urządzeń życia codziennego, do odświeżenia form przeżytych i wytworzenia nowego stylu.

Główną charakterystyką tych dążeń jest porzucenie symetrycznych form architektonicznych, przypominających konstrukcye z kamienia a nie drzewa, i przechylenie się więcej ku formom swobodniejszym, częstokroć asymetrycznym, przypominającym przyrodę organiczną, a przeto zamkniętym bardziej w liniach giętych, obłąkowych, bez nadużycia masy materyału, niepotrzebnego ze względów konstrukcyjnych, czem do zbytku może grzeszył renesans i barok.

A więc doborowa jakość materyału i silna, logiczna a nie obciążająca wyrobu konstrukcya, stały się niejako podstawowymi warunkami form nowego stylu meblowego. Pracę i sztukę wytwórcy, t. j. stolarza wysunięto tem samem na plan pierwszy, dano mu szersze pole do pokazania co umie i uzyskania lepszego wynagrodzenia za pracę.

Nadto i to w nowym stylu meblowym jest ważne i na podniesienie popłatności rzemiosła stolarskiego w wysokim stopniu wpłynąć może, iż styl nowy nie trzyma się żadnego wspólnego szablonu co do szczegółów wykonania, lecz idzie za indywidualnością artysty i uwzględnia żądania, potrzeby i zamiłowania zamawiającego. W urządzeniu domowem mają więc one znaleść wyraz. Jeśli urządzający się jest miłośnikiem malarstwa, ku temu zamiłowaniu nakłaniają się pomysły i motywa — inne zaś będą, jeśli zamawiający jest miłośnikiem muzyki lub literatury. Całe urządzenia pokojów stają się zatem indywidualne. Oczywiście, iż mebel w takim wypadku, jako unikat, staje się drogim, i tylko majętniejszemu człowiekowi dostępnym, ale też i sztuka stolarza odpowiednio zostaje uznana i wynagrodzona, co na podniesienie całego stanu rękodzielniczego zbawienny wpływ wywiera. Należy też zaraz zauważyć, że gwałtowna opozycya, którą stolarze podnieśli zrazu przeciwko nowemu stylowi, dziś znika już zupełnie, bo jasnem staje się, że praca i sztuka stolarza, mogą być tem tylko podniesione.

Ostatecznie dąży nowy styl do tego, ażeby jaknajkonsekwentniej odpowiedzieć potrzebom nowego życia i przeznaczeniu mebla. Nie ma więc w nowych meblach nic takiego, jak np. w meblach t. z. stylu niemieckiego, do czegoby się człowiek dzisiejszy dopiero zastosować i włożyć musiał, aby się o ich ostre kanty i ozdoby nie urażać. Wygoda i najzupełniejsze przystosowanie się do potrzeb człowieka, jego budowy i zwyczajów życia — oto jeden z najważniejszych warunków nowego stylu.

(Dokończenie nastąpi.)

Dodatek Humorystyczny.

Miłość i cyfry.

1. *Jeden* przedmiot miłości u każdego zakochanego. *Jednego* pocałunku, *jednego* łaskawgo spojrzenia żądają wszyscy zakochani. *Jeden* jest tylko miodowy miesiąc w każdem małżeństwie, *jedną* tylko teściowę może mieć każdy mąż.
2. *Dwie* osoby — „on“ i ona“ — potrzebne są do każdego *rendez-vous*. *Dwie* ręce ma każda kobieta, lecz *jedną* z nich można tylko otrzymać. *Dwa* słówka grają wielką rolę w miłości: „tak“ i „nie.“
3. *Trzy* razy można się żenić. *Trzy* rzeczy lubią mężczyźni: wino, kobiety i śpiew. *Trzy* rodzaje przyaciół najwięcej ze wszystkiego do kuczają mężowi: przyjaciele młodości, przyjaciele domu i przyjaciele kuzyni.
4. *Cztery* fazy przechodzi miłość: początek, zapał, zazdrość i *szlus!*
5. *Pięć* zmysłów posiada człowiek i wszystkie pięć traci, gdy się zakocha. *Pięć* jest części świata i we wszystkich kobieta jest zawsze wierną sama sobie. *Piąte* koło u wozu — to to samo, co stary mąż u młodej żony.
6. *Sześć* rzeczy koniecznych jest do romantycznego *rendez-vous:* on, ona, noc, księżyc, strumyk i słowik.
7. *Siedm* dni w tygodniu w czasie tych kobiety uprawiają sztukę kokieteryi.

30. Fatalna cyfra w latach kobiety.

200 000. Najlepsza przynęta dla zakochanych.

100000.000. Liczba pocałunków, które każdy zakochany przysyła przy końcu listu.

Humorysta „Pracy.“

Metamorfozy.

Była aniołem — ja kancelistą,
Miłość nam była życia sternikiem,
Marzyłem o niej i piłem czystą,
I byłem romantykiem...

Czasami obiad miałem w niedzielę
U jej rodziców, bo czuł coś „tato“...
Raz jakoś nie chcąc wspomniał wesele,
Rzekłem „czas będzie na to“.
Mój anioł pobladł gorzej od kredy,
Mnie w sercu było jesiennie dżdżysto,
Spytałem: „Posag?“ — sam nie wiem [kiedy,
Stałem się realistą...
Dziś, gdy wziął doktor rękę i serce,
(Jej ojciec jego bywał pacyentem,)
Ja piję rum, kocham się w kelnerce,
I jestem dekadentem...

Pan buchalter oświadcza się

Pani, Twoje wielkie cnoty,
Lśnią na kartach Prima noty,
A istotą pełną czaru
Gdnaś wejść do ksiąg towaru.
Szanse te są mi podniętą,
Że zysk liczę z góry netto.
I rycerzy dawnych wzorem
Chcę być Twoim debitorem.
O miłości mej potędze
Świadczą salda w głównej księdze.
I ten szereg cyfr bogaty,
Widny w koncie zysku — straty.
Wprawdzie smutna życia proza
Różne zwykła nieść dubioza,
Lecz przy Tobie — ja to czuję —
Słabe cyfry wystornuję.
Nie myśl, że ma miłość żywa
Kryje manca lub pasywa,
Bo do czystych serc aliansu
Nikt nie dąży bez bilansu;
Choćby wedle swej osnowy
Miał ten bilans być surowy.
Idealna ma natura
Wie co dobra inwentura,
A uczucia mego miary
Nie obciąża konto tary,
I ubytków, z których płynie
Strata w serca magazynie.
Tylko w duszy czuję manco
Sprzeczne z wszelkiem obliczeniem,
Zatem życia żyro blanco
Chcę ozdobić Twem imieniem,
I w wytkniętym dążąc celu
Włożyć Tobie do portfelu.
Przyjmij pani moją tratę
Z domicylem przy ołtarzu,
I pozwól tę ważną datę
Zanotować w terminarzu.
A gdy obrót rzeczy skłania,
By do dzieł wziąść się ostro,
Zmienię w toku książkowania
Conto mio w conto nostro.

Repertuar mojej żony.

Gdy w mieszkaniu siedzę sobie
Zdaje mi się, żem w teatrze,
Bo ma żonka w każdej dobie
Różne sztuki gra najrzadsze.
W *poniedziałek* ledwie przetrze
Oczy i pokaże światu,
Wrzask jej płynie wnet w powietrze;
To jest *prolog do dramatu.*
Dramat cały jest we *wtorek*,
Szkoda, że bez widzów grona,
Bo najlepszą wśród aktorek
Jest napewno moja żona.
Prawidłowo akcya rośnie,
Bieg dramatu szybko płynie,
A kończy się zaś żałośnie
Kupnem sukni w magazynie.

W *środę* za to jest *opera*,
Ma w niej żonka rolę *Halki*,
Dźwięczne tony tak wybiera,
Jakby szła ze mną do walki,
Czasem górne *c* wysnuje
Jej milutki głosik cienki;
Zmykam z domu, bowiem czuję,
Że pękają mi bębenki.

W *czwartek* jest w *tragicznej* fazie
Ukochana moja pani,
A gdy w takiej jest ekstazie
Innych wrażeń nie ma dla niej.
Koniec tej tragedyi może,
Jest zabójstwa czasem blizki,
Bo widelce, łyżki, noże,
Lecą we mnie jak pociski.

W *piątek* znowu *operetka*
Z przedziwnemi ruchy, gesty;
Groźną moja jest kobietka,
Na kształt mera lub podesty.
Ja w okresie owym całym
Tą wyborną grą się pasę;
Żal, że nie jest to w teatrze,
Boby teatr robił kasę.

Balet cały jest w *sobotę*,
Przedstawienie całkiem nieme,
Mimo tego nie sny złote,
Ale straszną czuję tremę.
W duszy nucę sobie rzewnie,
Smutne myśli ku mnie jadą,
Bo wiem, że się skończy pewnie
Tą piekielną galopadą.

Za to rozkosz mam w *niedzielę*
I rzecz cała idzie gładko;
Wstawiłem sobie nie wiele
W cichej knajpce pod rogatką,
Żonka leje łzy jak z cebra,
Spazmy płyną w całej sile,
Z śmiechu mnie aż trzęsie febra,
Bo mam świetną *krotochwilę.*

Nie-aktor.

Na rendez-vous.

On: Mówisz Maniu, że twoi rodzice nie zezwalają na nasze małżeństwo. A więc... odbierzemy sobie razem życie.

Ona: Jeszcze czego: Jestem nieszpetna i mam posag — nie będziesz ty — to będzie drugi.

Dział powieściowy.



MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

62) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—x—

(Ciąg dalszy.)

Borys chciał w pierwszej chwili wybuchnąć oburzeniem na taką propozycyą, ale zaraz potem przyszło mu na myśl, że jako agent policyi mógłby się później przysłużyć Felicyi, i szalona radość ogarnęła jego serce.

— Dziękuję panu za tę propozycyą, — rzekł, — i — przyjmuję ją! Każdego czasu jestem gotów wstąpić w służbę!

— Bardzo dobrze! Myślę, że pan nigdy tego nie pożałujesz! Chwilowo będziesz pobierał dwa tysiące rubli rocznie, ale uważaj trochę na kolegów — artyści mają zwykle nieco skłonności do rzeczy niezwykłych — rozumiesz pan?

Krew zakipiała w żyłach Borysa, ale zapanował nad sobą.

— Rozumiem, — szepnął.

— Potem wrócił do swego mieszkania, i zamknąwszy drzwi na klucz, rzucił się na łóżko i zapłakał gorącemi łzami. Ach, teraz wiedział dopiero jak drogą była mu Felicya!

Nazajutrz równo ze wschodem słońca stał przy sztalugach i malował z pamięci obraz ukochanej tej kobiety. Ale obraz ten miał być jego wyłączną własnością, i nikt w świecie nie miał go widzieć.

* * *

Tej samej nocy jeszcze telegrafował prezydent policyi moskiewskiej do Petersburga z uwiadomieniem o aresztowaniu córki Szalenburga i otrzymał również telegraficznie rozkaz wysłania Felicyi do Petersburga.

Pięć dni później przeczytano Felicyi wyrok, skazujący ją na dwadzieścia lat pobytu w zachodniej Syberyi.

I znów zawołała owa niebezpieczna nihilistka z głębokiem uczuciem:

— Dzięki ci Boże, teraz jestem u celu!

— Szalona! Obłąkana! — powiedział także prezydent policyi petersburskiej.

ROZDZIAŁ XCV.

Na stepach!

Pochód skazańców na Sybir!

Szczęk broni, dźwięk kajdanów, jęki, krzyki, przekleństwa — ludzie na pół nieżywi, kozacy na koniach z nahajkami w ręku — step zasłany śniegiem, zimny wicher, a nad tem wszystkiem szare zachmurzone niebo — oto obraz, którego żaden pędzel malarza przedstawić nam nie potrafi!

Że połowa skazańców ginie w drodze z wyniszczenia sił, o tem wie każdy.

Wiernymi towarzyszami takiego pochodu są wilki. Wiedzą one, że na żywności im nie zbraknie, bo któżby tam kopał groby dla umarłych? Zabierałoby to za wiele czasu!

Ale one nie czekają na umarłych! Kto ze znużenia padnie na drodze, ten staje się także ich ofiarą, o bronieniu się bowiem nie ma mowy. Skazańcy wiedzą o tem i dlatego, dopóki który może, idzie dalej, byleby nie zostać samym — bo wtedy straszna go śmierć czeka!

Felicya znajdowała się w takim pochodzie! Okuta w kajdany, idzie sama, niosąc na plecach małe zawiniątko. Może byłaby też już upadła pod męczarnią tej podróży, ale silna wola i nadzieja ujrzenia ojca, dodawała jej odwagi! Nogi, obute w ciężkich trzewikach, krwawiły się, ręce drżały, ale pomimo to szła dalej i dalej.

Tuż za nią jechał na koniu kapitan kozaków.

Był to człowiek już niemłody, o czerwonej, odrażającej twarzy, zdradzającej skłonność do wódki i o złośliwych, małych oczach. Przy siodle miał przywiązaną butelkę z wódką i popijał z niej bardzo często.

Raz podał butelkę Felicyi.

— Napij się, — rzekł, — to orzeźwia i dodaje sił!

— Dziękuję, — odpowiedziała.

— Nie chcesz? — krzyknął. — A przecież wódka, to jedyne, co człowiek ma! Wódka i ładne kobiety! Ha, ha!

Felicya spuściła głowę, aby ukryć przerażenie, jakie ją nagle ogarnęło.

— Słuchaj, — zaczął kapitan ciszej, — tyś bardzo ładna i podobasz mi się! Jeżeli chcesz, możesz być wolną! Jedno słowo twoje wystarczy! Za dwa dni oddaję transport więźniów innemu oficerowi — nazwiska twego nie umieszczę na liście i urządzę wszystko tak, że wrócisz ze mną do Moskwy! Chcesz?

— Nie! — odrzekła Felicya — wolę umrzeć!

Kapitan zaklął straszliwie, podniósł nahajkę i uderzył Felicyę tak silnie, że nieszczęśliwa upadła na ziemię.

Koń kapitana rzucił się w bok, jak gdyby nie chciał jej ranić tak, jak ludzie, a dwóch kozaków przyskoczyło natychmiast i szarpnęli ją do góry.

— Hej, numerze 127, — krzyknął jeden z nich, — wstawaj! Słońce zachodzi, wilki w drodze!

I jakby na potwierdzenie jego słów, dało się w niewielkiem oddaleniu słyszeć okropne, przeciągłe wycie...

Felicya, przerażona zerwała się natychmiast, ale zbyt słaba, aby się o własnej sile utrzymać na nogach, upadła znowu na zmarznięty śnieg. — —

ROZDZIAŁ XCVI.

Numer 128.

— Podnieście ją! — krzyknął kapitan — i dajcie mi ją tu, na konia. Ona nie może zostać!

Ale gdy Felicya usłyszała te słowa, wstała i oświadczyła, że może iść sama. Nadludzka wola jej zwyciężyła. Zimno dokuczało nieszczęśliwym więźniom, a nigdzie jeszcze nie było widać miejsca, w któremby spocząć mogli. Jakiś siwowłosy starzec upadł teraz z przerażającym jękiem na ziemię. Kozacy zaczęli go szarpać i kłuć dzidami, aby zmusić do wstania, ale on już podnieść się nie mógł.

— Zabijcie mnie! — krzyczał, — zabijcie mnie! Raz już skończą się te męczarnie!

— Zostawcie go, — rozkazał kapitan. — Im mniej tego motłochu, tem lepiej!

Kozak zeskoczył z konia i zdjął kajdany z nóg nieszczęśliwego.

— Jesteś wolnym, — rzekł szyderczo.

Ale starzec, usłyszawszy te słowa, zerwał się znowu.

— Wilki! — jęknął, i rzucił się naprzód, — wilki! Ratujcie!

— Uciekaj, — roześmiał się kapitan, — ja ci nie przeszkadzam.

Ale starzec nie mógł się ruszyć.

— Panie kapitanie, — szepnęła Felicya, przezwyciężając swój wstręt — może pozwolisz, aby się ten starzec oparł na mojem ramieniu! Zmiłuj się nad.....

— Milcz! — krzyknął okrutnik — i nie wtrącaj się w cudze sprawy. My tu nie jesteśmy na balu na cel dobroczynny! Dalej, marsz!

— Litości! litości! Zabierzcie mnie z sobą! — jęczał starzec.

Ale głos jego słabnął — więźniowie oddalili się i chwilę później dało się słyszeć przeraźliwe wycie wilków...

Było to okropne! —

Po dwóch godzinach marszu zatrzymano się nareszcie. Kozacy rozwinęli namiot, i teraz zabrano się do gotowania herbaty. Było to jedyne, czem więźniowie rozgrzewali skostniałe członki; do herbaty dostali jeszcze po kawałku suchego chleba.

Ale niektórzy byli tak zmęczeni, że nawet jeść nie mogli i zawinąwszy się w dery, zasnęli natychmiast twardym, żelaznym snem.

Felicya, pomimo zmęczenia spać nie mogła. Tysiączne myśli cisnęły jej się do głowy i dręczyły jej duszę, nagle — o mało, że nie krzyknęła przerażona — kapitan Kozaków stał przed nią.

— No, jakże, namyśliłaś się? — szepnął. — Chcesz uniknąć losu, jaki spotkał tego starego?

Felicya milczała.

— Odpowiedz mi! Chcesz być wolną?

— Nie!

Zanim kapitan zdążył przemówić, dał się słyszeć sygnał żołnierza, czuwającego przed namiotem.

— Co to jest? — zawołał biegnąc ku drzwiom.

— Ot — tam — odrzekł Kozak, podnosząc karabin.

— Co tam widzisz?

— Chmurę śnieżną!

— To zawieja.

— Nie! Bo słyszę też tentent koni.

Kapitan rzucił się na kolana i przyłożył ucho do ziemi.

— Masz słuszność. Słyszę dzwonki sanek!

— Już blizko — —

— Będzie to ważna jakaś wiadomość! Wznieć ogień, aby nas zobaczyli!

Więźniowie obudzili się teraz i wszyscy z największą niecierpliwością czekali na pojawienie się sanek. Było to jakieś urozmaicenie jednostajnej podróży.

I po upływie mniej więcej dwudziestu minut ukazały się rzeczywiście sanki, zaprzężone w trzy silne konie.

— W imię cara Wszechrosyi! — dał się słyszeć głos z trójki.

— Niech Bóg cara błogosławi, — odrzekł kapitan.

Trójka stanęła.

Dwóch mężczyzn wysiadło i wyniesło kobiecą postać, której twarzy, zakrytej chustką, nie można było rozpoznać.

— Kto tu jest dowódzcą transportu? — zapytał jeden z mężczyzn.

— Ja, — odpowiedział kapitan.

— Przywozimy wam jeszcze jednę skazaną, która ma iść z wami. Zdaje się, że to ważna jakaś osoba, bo mam list do was od samego dyrektora policyi z Petersburga! Każcie dać skazanej herbaty i chleba, bo ona oddawna nic nie jadła. Nam zaś dajcie wódki!

Kobieta, o której była mowa, stała nieruchoma, jak posąg.

— Zdejm chustkę! — krzyknął kapitan. — Chcę zobaczyć twoją twarz!

Kobieta natychmiast wykonała rozkaz. Chustka opadła na ramiona i blada, cudownie piękna twarz ukazała się oczom zdumionego kapitana.

— Jak się nazywasz?

— Nie wiem!

— Nie wiesz? No, nazwiska twego dowiem się z listu! Za co jesteś skazaną na Sybir?

— Nie wiem!

— Jesteś zamężną?

— Nie wiem!

— Czy wiesz, co to znaczy? zapytał kapitan, podnosząc nahajkę.

— Nie wiem!

— Na Sybirze oduczą cię tego wiecznego nie wiem, — krzyknął kapitan z wściekłością. — W mojej kolumnie masz numer 128 i zostaniesz skutą z numerem 127. Przyprowadzić mi numer 127!

Kozak wbiegł do namiotu i zbliżył się do Felicyi.

— Pójdź, — zawołał, — dostaniesz towarzyszkę! Przywieziono jeszcze jedną skazaną!

Felicya poszła z kozakiem.

Jedyną ulgę, jaką dotąd miała, straciła odtej chwili. Jest to okropnie — być skutym kajdanami z kimś innym! Ale gdy teraz ujrzała swoją przyszłą towarzyszkę niedoli, zadrżała, i stanęła jak wryta.

Numerem 128 była — Józefina!

— To ty Józefino! — szepnęła, powstrzymując się całą siłą woli od głośnego okrzyku zdumienia i radości.

— Ty! Felicyo — zawołała równocześnie Józefina. — Boże mój! Zkąd ty tutaj jesteś.

— Cicho! Udawaj, że mnie nie znasz! Wobec innych bądźmy nieprzyjaciółkami! Inaczej rozłączyli by nas!

W tejże chwili zbliżył się kozak z łańcuchem i związał razem ręce obydwóch pięknych kobiet, które miały teraz rzeczywiście ręka w rękę — odbyć wspólną podróż na — Sybir! —

XCVII.

Wilk petersburgski.

Józefina żyła spokojna i szczęśliwa w domu swej matki.

Pokochała ona gorąco lady Corrigan i byłaby chętnie życie dla niej oddała, ale dla ojca swego czuła mimowolną odrazę, której pomimo najszczerszej chęci zwyciężyć nie zdołała.

Jak często zamierzała wyznać prawdę matce! Czuła, że lady Corrigan przyjmie ją z radością jako swoją córkę, ale pomna przyrzeczenia, danego Tritoniemu, milczała czekają cierpliwie na jego powrót do Paryża.

Raz byłaby się już zdradziła, i to, gdy lady Wiktorya wyraziła jej swój żal, że nie ma córki.

— Tak sobie zawsze życzyłam córki, — mówiła smutnie, myśląc o swem straconem dziecku, — którąby mi była teraz przyjaciółką.....

— Ach, milady, — szepnęła Józefina, — masz szlachetnego i dzielnego syna, który cię serdecznie kocha.....

Lady Wiktorya westchnęła, i łzy stanęły jej w oczach.

Czyż mogła powiedzieć Józefinie, że Ryszard nie był jej synem, że w rzeczywistości posiada córkę, która z winy jej męża jest dla niej straconą?

Nie, tego powiedzieć nie mogła nikomu dopóty, dopóki się córka ta znajdzie!

— Ryszard jest istotnie dobry, — rzekła, — ale syn nie może być nigdy dla matki tem, czem jest córka! Teraz, odkąd ciebie mam, — dodała, ściskając czule ręce Józefiny, — nie jestem już tak samą! Ty mi zastępujesz córkę!

Ach, czemu nie mogła Józefina rzucić się do jej nóg i zawołać:

— Matko, moja matko, ja jestem twoją córką!

Ale musiała milczeć! —

Szczęście jej, jakiego teraz używała w całej pełni, miało się niestety wnet skończyć!

Pewnego dnia oznajmił lord Corrigan żonie, że ważne sprawy powołują go do Petersburga i że pragnie, aby ona mu towarzyszyła. Prośba ta zdziwiła lady Wiktoryą, była bowiem przyzwyczajoną do tego, że mąż jej sam odbywał podróże. Ale tym razem mógł ją lord łatwo przekonać o potrzebie jej obecności w Petersburgu.

— Ślady owej szewcowej prowadzą do Rosyi, — rzekł, a z stolicy łatwiej wszystkiem kierować!

To wystarczało lady Wiktoryi! Dla szukania dziecka byłaby pojechała na koniec świata, nietylko do Rosyi!

Że lord inne, zbrodnicze miał zamiary, tego nikt nie wiedział.

Całemi dniami przemyśliwał on nad tem, w jaki sposób pozbyć się swej własnej córki i w końcu zdawało mu się, że wynalazł coś bardzo dobrego. Ale aby to wykonać, musiał ją mieć w Rosyi!

— Kiedy jedziemy? — zapytała lady Wiktorya.

— Jak najprędzej! Zabierzesz pannę Bassano?

— Naturalnie, tak do niej przywykłam!

— Nie mam nic przeciwko temu. I ja polubiłem ją, jest to nadzwyczaj sympatyczna dziewczyna. Ale prawda chciałem cię dawno już zapytać — ile ty jej właściwie płacisz miesięcznie?

— Trzysta franków.

— W takim razie powiedz jej, że od dziś będzie pobierała pięćset! A na futra, które w Rosyi sobie kupi, daj jej odemnie te tysiąc franków!

I mówiąc to, wręczył żonie banknot dla Józefiny.

Lady Wiktorya ucieszyła się szczerze, że mąż jej okazuje tyle uprzejmości tej, którą ona tak pokochała!

(Ciąg dalszy nastąpi).

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENÉ BAZIN.

8) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Jan stał w głębokiem milczeniu, upajając się tym cudnym widokiem, wzruszenie jego rosło, głęboka radość napełniała mu duszę.

— O, jaka ona piękna! — zawołał z zachwytem.

Podoficerowi, który go obserwował z ukosa, pochlebił ten wykrzyknik młodzieńca, odparł więc:

— Męcząca to wprawdzie przechadzka, ale też i przyjemna dla ludzi, mających wiele czasu. Przychodzi tutaj dużo ciekawych z Gerardmeru, z Saint-Die, z Remiremont i jeszcze z dalszych okolic. Dużo też osób przybywa ztamtąd.

I wskazał palcem po za siebie, na Alzacyę.

Jan zapytał go, gdzie leżą wymienione przed chwilą miasta, nie słyszał jednak odpowiedzi, bo się zagłębił w swych własnych myślach. Zachwycała go przejrzystość powietrza, bezmiar przestrzeni, rozkosz życia i urodzajność leżącej przed nim francuzkiej ziemi. Przedewszystkiem zaś był głęboko przejęty tem, co wiedział o Francyi, co czytał o niej, albo co słyszał od matki, dziadka i Ulrycha, wreszcie co sam niewyraźnie przeczuwał. Wszystkie wspomnienia, spoczywające w głębi duszy, obudziły się nagle z niezwykłą siłą, niby kłosy zbóż, wznoszące się ku wschodzącemu słońcu.

Strażnik usiadł na ławce przed domem, wyciągnął z kieszeni krótką fajkę i zapalił ją spokojnie.

Jan z oczyma, pełnemi łez, usiadł obok niego na ławce, wtedy Francuz odczuł wzruszenie młodego turysty. Zachwyt nad malowniczością położenia nie zwrócił uwagi strażnika, ale zmartwiły go łzy żalu w oczach nieznajomego. Sercem odczuł serce i to właśnie zrównało i zbliżyło obu tych ludzi. Nie śmiał go jednak badać i odwracał głowę, przyczem na jego szyi zarysowały się wyraźnie silne żyły. W milczeniu obserwował roztaczający się przed nim widnokrąg.

— Z której części Francyi pan pochodzi? — zapytał go Jan.

— Z gór, odległych stąd o pięć mil.

— Czy pan już odbył służbę wojskową?

Podoficer wyjął fajkę z ust i przyłożył rękę do piersi, na której wisiał order.

— Przed sześciu laty — odparł — miałem dwa urlopy, wystąpiłem ze służby, jako sierżant, a order ten zdobyłem w Tonkinie, świetne czasy, ale gdy miną...

Powiedział to takim tonem, jak mówią turyści, którzy lubią wspomnienia, ale nie nabrali wstrętu do podróży.

Następnie dodał:

— U was tam służba jest cięższa — tak przynajmniej mówią.

— Tak.

— Zawsze słyszałem zdania: „Niemcy to państwo potężne, ale oficerowie i żołnierze nie stanowią tam jednej rodziny, jak np. we Francyi.“

Słońce się zniżało — cały krajobraz, przed chwilą skąpany w różowo-złotawych promieniach, przybrał barwę płową, przeciętą fioletowemi cieniami. Purpura, pokrywająca kraniec horyzontu, z szybkością płynących obłoków obejmowała coraz większe przestrzenie, gęste cienie pokrywały zbocza gór i doliny, które Jan tak pragnął widzieć w słońcu.

Po chwili zapytał:

— Czy często spotykasz pan dezerterów?

— Uchodzących przed rozpoczęciem służby wojskowej trudno jest poznać. Można zauważyć tylko tych, którzy służą w pułkach Alzacyi i Lotaryngii i uciekają w mundurach. O, dużo widziałem takich... biedni chłopcy! Jedni z nich opuszczają ziemię rodzinną, chcąc uniknąć zbyt srogiej kary, inni dlatego, że są zbyt dumni i hardzi, inni... Możesz pan powiedzieć, że i od nas uciekają ludzie, ale to się zdarza nie tak często, jak u was.

Spuścił głowę i spoglądając z rozrzewnieniem na pogrążone w ciemności regle, rzekł:

— Tutejsi mieszkańcy, widzi pan, mogą też narzekać, jednak do nowych stron przyzwyczaić się nie mogą. Pan nie zna Francyi, a jednak patrząc na pana, możnaby właśnie powiedzieć, że pan jest naszym.

Jan poczerwieniał, ścisnęło mu w gardle — nie był zdolnym odpowiedzieć ani słowa.

Strażnikowi zdawało się, że przebrał miarę.

— Wybaczcie mi, panie nikt nie wie, z kim się spotyka, a są rzeczy, o których najlepiej zamilczeć; ale muszę wracać na dół dla dokończenia mego obchodu.

Ukłonił się Janowi po wojskowemu. Jan ujął jego rękę i ścisnął ją mocno.

— Nie omyliłeś się, przyjacielu! — rzekł serdecznie, następnie chcąc, by strażnik pamiętał o nim dłużej, niż o zwykłych przechodniach, wyjął z kieszeni papierośnicę i zwrócił się do niego uprzejmie:

— Proszę, weź pan cygaro.

Ale w tej samej chwili ogarnęła go jakaś dziecinna radość, wysypał wszystkie cygara z papierośnicy na rękę strażnika i zawołał:

— Proszę, weź pan wszystkie! Zrobisz mi tem ogromną przyjemność — nie odmawiaj mi pan.

Zdawało mu się, że daje coś Francyi.

Podoficer zawahał się sekundę, ale później wziął cygara i rzekł:

— Będę je palił każdej niedzieli. Dziękuję panu. Do widzenia.

Skłonił się pospiesznie i po chwili zniknął w gąszczu chojaków.

Jan wsłuchiwał się w szmer ginących w oddali kroków. Dźwięczały mu ciągle w uszach słowa strażnika: „Pan jesteś nasz“. Słowa te rozbrzmiewały w jego duszy, napełniając ją niewypowiedzianem wzruszeniem.

— Tak, jestem wasz, czuję to, widzę... to mi tylko tłómaczy tyle stron mego życia.

Jan patrzył, jak cienie coraz więcej ogarniały ziemię. Rozmyślał o członkach swojej rodziny, którzy niegdyś walczyli około tych wiosek, pogrążonych w ciemności — walczyli po to, ażeby Alzacya była złączoną z tą wielką krainą, leżącą przed nim.

— Ojczyzno, która mi się wydajesz tak słodką, ojczyzno moja, wszyscy o tobie mówią z czułością! Czemuż jestem tak wzruszony, jak gdybym cię widział przed sobą żyjącą?

Po chwili na widnokręgu nieba, tam, gdzie się zaczynał błękit, zabłysła pierwsza gwiazda. Jaśniała samotna, wysoka, niby jakaś idea. Ściemniło się zupełnie. Jan więc zerwał się i poszedł ścieżką, idącą wzdłuż szczytów samotnie, wśród wielkiej ciszy, na góry rozdzielające dwa wrogie narody, i mówił do gwiazdy i do cieniów, leżących u jego stóp:

— Jestem wasz, o jakżem szczęśliwy, że was widziałem. Nawet mnie przeraża tak głęboka miłość.

Wkrótce dosięgnął granicy i wspaniałą drogą, prowadzącą przez przełęcz Szlucht, zeszedł na ziemię niemiecką.

. . . .

Nazajutrz był Wielki Wtorek. Jan wrócił do Alsheimu i złożył ojcu, zredagowany przez siebie, raport o wyrębach. Cały dom powitał go z widoczną radością, która silnie wzruszyła młodzieńca. Wieczorem odbyła się „konferencya“ między dziadkiem i przemysłowcem. Jan wziął w niej udział jako wracający z wycieczki po wyrębach, następnie Lucyna przywołała brata i zasiadła z nim pzzy płonącym kominku w żółtym salonie. Pani Oberlé czytała przy oknie, mąż wyszedł do stajni, bo stangret zawiadomił go, że jeden z koni zakulał.

— A więc — zapytała Lucyna — co widziałeś najpiękniejszego.

— Ciebie.

— Nie żartuj, ale powiedz, co widziałeś najpiękniejszego w podróży?

— Francyę.

— Zkąd?

— Ze Szluchtu. Nie możesz sobie wyobrazić, jak silnego doznałem wzruszenia, graniczyło ono z objawieniem. Nie rozumiesz mnie.

Odparła mu obojętnie:

— Ależ owszem. Jestem zachwycona, że ci to zrobiło

przyjemność. Istotnie wycieczka musiała być ładną w tej porze roku — pierwsze kwiaty wiosenne, tchnienie lasów! O, mój drogi, tyle jest w tem wszystkiem konwencyonalizmu.

Jan nie nalegał, ona więc pochyliła się ku niemu i rozpoczęła poufne zwierzenia, cieniując znakomicie swój dźwięczny głos:

— Wiesz, mieliśmy tu zajmujące wizyty — o, wizyty, które omal co nie wywołały sceny. Wyobraź sobie, w ostatnią środę dwóch oficerów niemieckich przybyło samochodem; zatrzymali się u wjazdu i prosili o pozwolenie zwiedzenia fabryki. Na szczęście byli w cywilnych ubraniach, ludność więc Alsheimu wzięła ich za jakichś zwykłych panów. Byli oni bardzo szykowni; jeden z nich, komendant, był już stary, ale drugi był młody, elegancki, światowy, wyniosły. O, gdybyś był widział, w jaki sposób powitał ojca! Byłam wtedy w parku, pozdrowili mnie również, a potem zwiedzili całą fabrykę, ojciec oprowadzał ich wszędzie. W tym czasie ten idyota, Wiktor, powiedział o wszystkiem dziadkowi, który urządził nam scenę wspaniałą, gdyśmy wrócili. Jak się zdaje, powinnam była chyba uciekać. Gniew jednak trwał krótko, ponieważ ci panowie nie wstąpili do „mego domu“, jak mówi dziadek. Były jednak skutki tej wizyty...

Tu Lucyna stłumiła śmiech.

— Mój drogi, pani Bastian mnie potępiła.

— Towarzyszyłaś więc tym panom przy zwiedzaniu fabryki?

— Tak.

— Przez cały czas?

— Ojciec mnie zatrzymał. W każdym razie wcale nie pojmuję, co to może obchodzić żonę mera. W ostatnią niedzielę przy wyjściu z kościoła odkłoniła mi się lodowato. A ty, czy dbasz o ukłony Bastianów?

— Tak, jak o ukłony wszystkich uczciwych ludzi.

— Uczciwych — bez wątpienia, ale widzisz, to są ludzie nie dzisiejsi, ich nagana obchodzi mnie tak mało, jak naprzykład nagana wskrzeszonej na chwilę mumii egipskiej. Odpowiedziałabym jej: — Nie znasz się nic na tem wszystkiem, wróć do swych przepasek ofiarnych. — Jakże to zabawne, że ty, braciszku, myślisz inaczej, niż ja.

Jan pogładził jej wyciągniętą rękę, którą zasłaniała się od ognia.

— Nawet mumie mogłyby sądzić o niektórych rzeczach z naszych czasów, moja droga. Są rzeczy jednakie we wszystkich czasach.

— Oh, jak to pan jest dziś uroczysty. Słuchaj, Janie, cóż ja zrobiłam złego? Czy to, że wyszłam na przechadzkę, że nie odwróciłam oczu? Czy może nie powinnam odpowiedzieć na ich ukłon? A może źle zrobiłam, słuchając ojca, który kazał mi iść razem i pozostać aż do końca?

— Nie, bynajmniej.

— Więc gdzież moja wina?

— Nie jesteś winna i ja nieraz tańczyłem z Niemkami, możesz więc i ty odpowiadać na ukłony oficerów.

— A więc zrobiłam dobrze.

— W gruncie rzeczy tak — a jednak tyle jest dokoła nas szlachetnych i uzasadnionych boleści; trzeba zrozumieć, że jakieś jedno słowo, jeden gest może je odnowić.

— Nigdy się z tem liczyć nie będę, skoro tylko będę przekonana, że to, co, czynię, nie jest złem, nikt mnie nie powstrzyma nigdy. Czy ty mnie pojmujesz?

— Na tym punkcie różnimy się z sobą, Lucynko, i to nie jest różnica w pojmowaniu rzeczy, a właściwie w odczuwaniu. Dzięki swemu wychowaniu nie rozumiesz całej kategoryi uczuć.

Uścisnął ją serdecznie i zwrócił rozmowę na kwestye obojętne.

ROZDZIAŁ VII.

Wielka Sobota.

Wypogodziło się. Jan widział znów doliny alzackie w pełni wiosennej krasy. Jednakże ten widok, którego tak bardzo pragnął, wzbudził w nim tylko słabą i zmąconą radość. Nawet przed samym sobą wyznać nie chciał, jak silnie wzburzyła go ostatnia wycieczka. Zrozumiał teraz jasno odrębność dwóch narodów, dwa ich tak różne duchy, trwałość wspomnień przeszłości, trudności życiowe, wynikające z przekonań patryotycznych, nawet ostrożnie wypowiedzianych, albo też całkiem ukrywanych. Teraz dopiero pojął, jak trudnem będzie jego położenie wobec rodziny, robotników i całej Alzacyi.

Smutny nastrój jego duszy na chwilę tylko przerwany został pochwałą ojca z powodu świetnego raportu o eksploatacyi leśnej firmy Oberlé. Całą siłą woli udawał szczęśliwego, ale w to szczęście uwierzyli jedynie ci, którym uwierzyć było wygodnie.

— Janku — powitała go matka, całując serdecznie w chwili, gdy miał zasiąść do śniadania — doskonale wyglądasz. Służy ci powietrze Alsheimu, nieprawdaż? A także towarzystwo starej matki, co?

— Ba — wtrąciła Lucynka — a ja właśnie uważałam, że Janek jest dziś jakiś nieswój.

— Interesy zawyrokował pan Józef Oberlé, przechylając się w stronę syna — kłopotliwe interesy! Muszę go publicznie pochwalić za raport bardzo treściwy i bardzo jasno zredagowany, z którego widzę, że możemy znacznie tańszym, niż dotąd kosztem, sprowadzić z kilku miejsc drzewo. Czy słyszysz to ojcze?

Starzec skinął głową potakująco. Napisał coś na tabliczce i podał ją synowej:

Czy usłyszał już płacz Alzacyi.

Pani Monika szybkim ruchem zatarła napisane wyrazy. Inni spoglądali po sobie. Wszystkich ogarnęło dziwne uczucie, jak gdyby coś niemiłego zaszło między nimi.

Jan uczuł znów jakiś wewnętrzny, ukryty ból, na który nie było lekarstwa. Całe popołudnie pracował w biurze fabryki, lecz z roztargnieniem i zadumą na twarzy. Myślał, że Lucynka mogłaby wyjść zamąż, że dziadek mógł umrzeć, ale w domu trwałoby dalej to samo rozdwojenie. Dawne plany, nadzieje, że potrafi dać trochę ukojenia, zgody lub przynajmniej pozorów zgody — wszystko to teraz wydawało mu się istnem dzieciństwem. Widział, że Lucynka miała słuszność wyśmiewając jego złudzenia. Nie! Zło nie tkwiło tylko w jednej rodzinie Oberlé, ale w całej Alzacyi. Gdyby nawet wszyscy członkowie jego rodziny usunęli się z Alsheimu, to jeszcze Jan zetknąłby się z tą samą kwestyą palącą, z tą samą bolączką w stosunkach z robotnikami, z klientami, z przyjaciołmi. Ani jego wola osobista, ani niozyja nie mogła wyzwolić Alzatczyków z ucisku nietylko teraz, ale nawet później.

W tym smutku stawała mu w oczach postać Otylii; serce jego musiało zapłonąć pragnieniem jej miłości. Tylko jedna Otylia Bastian potrafi mu uczynić możliwem życie w Alsheimie, odzyskać tylu przyjaciół utraconych, przywrócić w Alzacyi dawną powagę nazwiska Oberlé. Teraz widział w niej nietylko ładną kobietę, do której leciała pieśń do młodego serca, ale ona uosabiała dlań spokój, godność, jedyną siłę w walkach, grożących mu w przysłości. Potrzebował właśnie takiej, jak ona, dzielnej i dumnej istoty.

Jak jej to powiedzieć? Gdzie znaleźć sposobność pomówienia z nią swobodnie, po za oczami tej rodziny surowej i zazdrosnej? W Alsheimie? Nie! Gdzież więc znaleźć miejsce spotkania? W jaki sposób ją uwiadomić?

Jan myślał o tem cały wieczór.

Nazajutrz był to wielki czwartek. Wszyscy katolicy stroili grób Zbawiciela kwiatami, makatami, świecznikami — wszyscy chcieli oddać cześć Chrystusowi.

Pogoda była piękna, nawet wyjątkowo piękna, jak na porę obecną, w której przeważają mgły i deszcze. Jan czas jakiś rozmawiał z matką i siostrą w pokoju pana Filipa Oberlé i po raz pierwszy doznawał słodkiego uczucia, że przebywa w domu rodzinnym. Potem poszedł w kierunku pola tą samą drogą, którą przybył przed kilku tygodniami, idąc do Bastianów. Po za folwarkiem Rampacherów podążył dalej ścieżką równoległą do alei wiśniowej i wiodącą przez nieużytki, po których jeździli wozami rólnicy miejscowi. Przyległe pola były puste.

Widok na drogę zasłaniało wzgórze, zasadzone drzewami orzechowemi. Jan chodził tam i z powrotem wzdłuż żywopłotu, okalającego posiadłość Bastianów. Czekał. Miał nadzieję, że Otylia ukaże się wkrótce w alei po drugiej stronie żywopłotu, tędy bowiem wypadało jej iść z domu do kościoła w Alsheimie. A Jan nie wątpił, że pójdzie się pomodlić przy grobie.

— Jakież to cudne! — rzekł półgłosem. — To droga dla niej stworzona!

(Ciąg dalszy nastąpi).